



Co charakteryzuje naród? Wspólne terytorium, ojczysty język, poczucie przynależności i odrębności od innych społeczności oraz relacje między członkami tej wspólnoty. Od wieków państwa formułowały się ze względu na wspólną narodowość pewnych warstw społecznych. Zakreślały granice, ustalały wewnętrzną strukturę, podział ról i pozycję jednostki w świecie, jaki zastały.

Czym charakteryzują się twórcy? Chęcią i mocą tworzenia. To logiczne. Gdy ktoś potrafi wykorzystywać słowo pisane, talent malarski, retoryki i umiejętności abstrakcyjnego myślenia (które cechuje każdego artystę), posiada zdolności kreacyjne. Wydziela część samego siebie, by dać go światu - aby pokazać, co umysł ludzki jest w stanie uczynić. Po co? Bo tego pragnie. Od tego się zaczyna i na tym kończy. Efekty uboczne często są u twórców spychane na tor dalszy. Pieniądze i sława są często niczym w porównaniu do umiejętności tworzenia. Tworzę, bo chcę - bo jest to piękne.

A fantastyka? Horror, science-fiction, fantasy? Fantastyka polega na tym, że w abstrakcyjne formy i barwy ubrane są rzeczy ludzkie, które tworzy nie kto inny, jak artyści. Chęć odwiegnięcia od rzeczywistości lub kontemplowania jej w innym, wymyślnym świecie przynosi często odpowiedź na pytania o sens świata jaki zastajemy co dzień. Gatunek ten nie tylko daje odpowiedzi, ale także stawia pytania: o przyszłość, o możliwe scenariusze rzeczywistości, o rolę człowieka w takim świecie, o jego zachowania... Fantastyka wskazuje drogę czysto nierealną, ale także ludzką i prawdopodobną.

Dajmy więc świadectwo. Nie żadne patetyczne - ot świadectwo twórców, fantastów, często przyjaciół, a na pewno współników w kreowaniu pasji. Naród fantastyczny. Jak to brzmi?

Spis treści:**Literatura**

- » Mizerna dola jaszczurki bojowej - *EuGeniusz Dębski*.....3
- » Jezioro Śmierci - *Dariusz S. Jasiński*.....14
- » Cmentarz - *Michał Skrzypek*.....23

Publicystyka

- » Fandom Wars - *Artur "Żółw" Wieczorek*.....28

Wywiad

- » Wywiad z EuGeniuszem Dębskim.....30

Recenzje

- » Vuko wiedźmin - *Sławomir Spasiewicz*.....34
- » Neodemony - *Emil Strzeszewski*.....36
- » Nieortodoksyjna fantastyka - *Emil Strzeszewski*.....38
- » Kroniki PRL-u - *Dariusz S. Jasiński*.....40
- » Fenomen kaset wideo - *Emil Strzeszewski*43

Dział RPG - D&D

- » Klucz Dziewięciu Bram - *Piotr "Rebound" Brewczyński*.....48
- » Shinobi (klasa prestiżowa) - *Jakub "Newanderer" Jakubowski*.....50
- » Asinus i Eteryci - *Jakub "Erpegis" Osiejewski*.....53
- » Krwawa Dziewica - *Jakub "Newanderer" Jakubowski*.....56

Ponuro? Nie. Nierealnie. Już prędej. Tylko, że fantastyka to bujanie w wyobraźni. Nierzeczywiste być musi. Stąd słowo: naród. Abstrakcyjne pojęcie o ogóle twórców, pisarzy, malarzy, graczy, czytelników, zajmujących się fantastyką. Ktoś może mieć wątpliwości co do tego, że fantaści to naród. Tak więc proszę:

Wspólne terytorium - sztuka. Ojczysty język - fantastyka we wszelkich jej przejawach. Poczucie przynależności - środowisko zwane potocznie fandomem. Odrębność jest tu spełniona w ojczystym języku. Należymy do różnych społeczności, ale właśnie dlatego, że bujamy w obłokach by ujrzeć nowy świat, nowe możliwości, jesteśmy narodem fantastów. Jakie są nasze relacje? Ludzkie. Ludzkie i bardzo różne. Czasem właśnie w fandomie czynią z nas wrogów, czasem powstają grupy, które zajmują się daną sprawą wspólnie. Poza tym



niesformalizowane. Bo niby czemu miałyby być? Jedyną prawidłowością jest tu chęć działania na rzecz gatunku w sztuce, jakim jest fantastyka. Jedni piszą, drudzy czytają, kolejni grają w RPG. Tu jest widoczny podział ról. Naciągana teoria? Zadaj sobie lepiej pytanie, czy możliwa do zaakceptowania. Skoro nie widzisz nic przeciw elfom, cyborgom, kosmitom, statkom kosmicznym czy abstrakcyjnemu pojmowaniu świata, nie sprzeciwiaj się koncepcji narodu fantastycznego. Może wyjdzie Ci na dobre.

Oto przed Tobą pierwszy numer dwumiesięcznego sieciowego periodyka *Creatio Fantastica*. Zbyt mało mamy fanzinów, zbyt mało wydawnictw, magazynów papierowych, aby zapewnić radość każdemu z nas. Proponujemy więc nas: E-zin zajmujący się literaturą, publicystyką i grami RPG. Periodyk jest podzielony na dwie części: literatura i RPG. W dziale z literaturą możesz znaleźć teksty literackie przede wszystkim debiutantów, ale nie tylko. Poza tym przeczytasz recenzje książek (niekoniecznie najnowszych - tych raczej, które są ważne dla rozwoju fantastyki), dowiesz się o stanie rynku z felietonów i publicystyki. Postaramy się także pokazać garść faktów odnośnie tematów związanych w jakiś sposób z fantastyką (mitologie, związki fantastyki z innymi dziedzinami życia, jak technika, filozofia, nauka albo film, muzyka, obraz). Zero polityki, zero kumoterstwa, kolesiostwa. Czysta fantastyka. Strony z tematami RPG będą obfitować w materiały do gier fabularnych (nowe miejsca, recenzje podręczników, porady, scenariusze do przygód, wieści ze świata RPG). To dwa główne nurty w polskiej fantastyce dziś. Dwie gałęzie, które postaramy się prezentować.

Oto *Creatio Fantastica*.

Oto twór fantastów.

Emil Strzeszewski

Emil Strzeszewski – redaktor naczelny, dział literatura.

Sławomir Spasiewicz – zastępca redaktora naczelnego, dział recenzje

Piort „Rebound” Brewczyński – dział RPG.

Stali współpracownicy:

Michał Cetnarowski, Michał Choiński, Paweł Cieciewicz, Guido Eekhaut, Dariusz S. Jasiński, Taki Jeden Tetrix, Artur „Żółw” Wieczorek, Cezary Zbierzchowski

Wykonanie serwisu oraz skład dokumentu:

Marcin „ajfel” Zawiślak



Eugeniusz Dębski

Mizerna dola jaszczurki bojowej, czyli moja zepsuta wojna

Wyskoczyłem pierwszy.

Zaraz po tym, jak szybolot miękko przyhamował klapami, a w polu widzenia po lewej stronie przyłbicy pojawiła się zielona kropka.

Do ziemi było czterysta stóp, uprząż inercjalna zareagowała idealnie, przeleciałem trzysta pięćdziesiąt w siedem sekund, po swobodnym locie zadziałało jo-jo, wylądowałem, wisząc na miękko wysnuwającej się linie. Gdy tylko dotknąłem podeszwami gruntu, parolot złożył ramę i ściągany liną pomknął do mnie. Odsunąłem się trochę; historia zna takie przypadki - czujnik zaśpi i człowiek obrywa w kopułę swoim własnym parolotem, który - przestając służyć za latawiec - miał mu być teraz łóżkiem. O kilka sekund za szybko. Popatrzyłem na tablid. Wszyscy się wysnuli, dobra, to mamy z głowy. Przyłożyłem prawe przedramię do lewego, na podwojonym ekranie miałem teraz całą sytuację taktyczną: szybolot spierdział do bazy, kompania w trzech czwartych wylądowana, lokalizacja zacna i trafna.

Okay.

Wymacałem językiem groszek mikrofonu na dziąśle, przesunąłem w kącik ust.

- Tu Lobo - powiedziałem cicho. - Zajmować pozycje zgodnie ze strateplanem, kto zapomniał, ma kopa w dupę i tablid do przypomnienia. - Z hełmu wysunął się pręt z okiem, spenetrowałem okolicę. Noktooko

pokazało, że stoję na łagodnym zboczu, prowadzącym na płaskowyż. Kurde, co do centymetra. To się często, powiadam wam, nie zdarza. Przejechałem szponem po tablidzie i wysłałem info do żołnierzy i do sztabu, sklerotycznym dupkom ku przypomnieniu, i ruszyłem do góry. Widziałem, że kompania rozciągnęła się w ładną, równą linię.

To lubiem, pomyślałem. Jak armia działa dobrze, to nie ma ładniejszego widoku.

- Ruszamy.

Po półtorej godzinie bezszelestnego marszu moje oko na wysięgniku wysunęło się poza krawędź płaskowyżu. Reszta kompanii już zaległa na tarasie, jakby umyślnie przez naturę przygotowanym dla nas, trzeciej kompanii. Znakomitej trzeciej kompanii, przewodniej, kurde, kompanii.

Spenetrowałem teren. Noc i nic. To lubiem. Uruchomiłem komplet czujów. Nic i noc. Okay. Ostatnią rzeczą przed capstrzykiem - he-he! Żartuję: capstrzykiem!? - była sonda. Ruch szpona na lewej dłoni spowodował, że wyskoczyła z plecaka, nadmuchała się i w postaci dwu chudych fasol, złączonych "grzbietami", uleciała w mrok. Zatrzymałem ją na dwustu jardach, nic się nie działo, nic nie ruszało, no, poza jakimś susłem, jakimiś węzami, czteroma królikami. Miałem energii full, więc ściągnąłem sondę nie ręcznie, a wyciągarką i wypuściłem hel, powoli, żeby nie zmienić aury w okolicy. Dopiero teraz wezwałem dowódców plutonów na konferkę. Panowała zgodność - poszło dobrze, poszło gładko. Czyli - w najbliższym czasie coś musi piznać. To Reguła Święta. A na razie - potwierdziłem warty, zsunąłem się kilka metrów niżej, zostawiając noktooko na szczycie, wymacałem dźwignię modyfikatora i, rozłożywszy maskującą moskitierę, walnąłem w łóżko, dawniej parolot. To dwa z siedemnastu zastosowań "szkielota". W przyszłości może stać się, w miarę potrzeby, namiotem, łodzią lub balonem. Albo minisauną.

I trumną polową. Też jakby było trzeba.

Sprawdziłem wczep, taki mam zwyczaj - niby wiem, że sonda siedzi w przedramieniu, niby mam komunikat na tablidzie, ale jestem upierdliwy i sprawdzam, czy rzeczywiście jestem podłączony do szeregu czujów. Egmont kiedyś nie sprawdził, rzadki przypadek, ale jemu się przydarzył. Od dwóch lat



przynoszę mu raz w miesiącu sezamki, tylko to do niego dociera, wpycha je sobie do ust i przez chwilę jest widocznie szczęśliwy.

Spałem cztery godziny.

Szarzało, kiedy w żyłę poszły stymulatory i obudziłem się rażny i bojowy. Pozwoliłem sobie na odrobinę komfortu i wyświetliłem opersyt nie na tablidzie a na moskitierze nad głową, wszystko idealnie widać, stuprocentowy porządek. Zwinąłem szkielota, wypłem kawę, to znaczy odczekałem, aż kofeina spłynie do żył z podajnika, łyknąłem zwykłej zimnej wody z termosu, przekąsiłem paczką liofilizowanej wołowiny czy czegoś, co udawało ją dobrze, i pomaszzerowałem na stanowisko.

Baterie przez noc zdążyły się wyczerpać i moje dwie mikrokoparki zaledwie zarysowały kontur stanowiska dla mnie, po czym zdechły; zaraz złapią lumeny i ruszą rażniej, ale na razie kicha. Położyłem się obok zarysu płaskiego wykopu w kształcie ciała, jaki dla mnie szykowały, wyjąłem lornetkę i sumiennie przejrzałem każdy cal płaskowyzu przede mną oraz niebo nade mną, przepętałem czujniki. Dobrze. W promieniu kilku mil od nas nie było enpla. Właściwie, taka opersyt aż kusila, żeby ruszyć do przodu i zająć trochę więcej terenu, ale rozkazy były inne, a ja nie miałem pojęcia o generalnej operacyjnej sytuacji, bo i nie ten szczebel jestem.

Zsunąłem się niżej, zawołałem do siebie Quinica i Winslow. Zwolniłem pluton pierwszy i drugi, widziałem, jak zjeżdżają na tyłkach w dół, gdzie pod kopułą maskującą już ruszyła kantyna.

- Uwagi? - zapytałem Winslow.

Pokręciła głową.

- Nic - rzuciła niemal bezdźwięcznie.

W uchu słyszałem ją znakomicie. Popatrzyłem na Quinica.

- Nic, panie kapitanie - powiedział nieco za głośno.

- Dobra. Do jedenastej okopujemy się - powiedziałem.
- Kwadrans po mają przyjść rozkazy, wtedy się dowiemy, czy budujemy linię, czy idziemy dalej.

- Ja bym poszła do przodu - rzuciła Winslow.

- Ja też. Ale sam nie pójdę, bo się boję, a wojska brać nie mogę, bo nie mam takiego rozkazu - uciałem. - Zmiany według pobranych rozkazów, co cztery godziny, plutonami. Na razie nie obudowujemy się.

- Nie lubię walić pod siebie - bąknął Quinic. - Trochę komfortu by nam nie zaszc...

- Mnie też uwiera rurka w dupie! - poinformowałem go.
- Trudno. W południe będziemy mieli nowy zrzut opersyta i wtedy zdecydujemy. Jeśli nie ma pytań - dziękuję.

Poszli do siebie.

- Toja? - rzuciłem w przestrzeń.

- Słucham, panie kapitanie. - Usłyszałem głos dowódcy trzeciego plutonu.

- Co u ciebie?

- Dokładnie to samo. Rurka w dupie jest do dupy. - Sprzedał mi stary tekst.

- Co ty powiesz? - Przeciągnąłem się i już zamierzałem odpowiedzieć równie starym grepsem o wymiennosci rurek do cewek i wlewk, gdy pisnął czujnik geo, jednocześnie tablid na wszelki wypadek uszczypnął mnie w przedramię. Złączyłem przedramiona, jednym rzutem oka zdjąłem podgląd. Coś się ruszyło, nieśmiało i krótko, po drugiej stronie plateau! Czyżby enpel siedział tak samo jak my na przeciwległym zboczu płaskowyzu?!

- Toja?

- Tak jest?

- Jak daleko doszły jaszczurki przez noc?

- Są w połowie drogi do przeciwległej krawędzi, jeszcze niecała mila.

Biosmyki wszczepione w jaszczurki pustynne przez całą noc popierniczały przed siebie, ale to wolne, cholera, stwory. Przy tym, jak jest trochę chłodniej, to gównu mają nie wydajność, nawet biodopalacze nie mogą pokonać ich wrodzonej pieprzonej zimnokrwistości. A może ciepłokrwistości? Nieważne, sterowane przez nasz kompanijny komp jaszczurki miały dotrzeć do urwiska i tam zacząć pędzić "normalny" gadzi żywot... Płazi? Żywot,



przerywany tylko ośmiokrotnymi na dobę meldunkami. Kompkomp zbierałby je, segregował, kleił i podsuwał pod mój kapitański nos szczegółową mapę nasłuchu i wywęchu opatrzonego terenu.

Ale - jak się właśnie dowiedziałem - jaszczurki nie dotarły jeszcze do krawędzi.

- Toja, ile ich jest? Osiem?

- Tak, panie kapitanie.

- Dobra, pięć niech się wlecze swoim tempem, ale trzy pogoń.

- Zarzną się.

- Trudno. Staraj się ich nie zakatować, ale muszą za godzinę być na miejscu.

- To dla nich prędkość dźwięku, kapitanie. Jak mam nie zakatować?

- To zakatuj! Byle tam były, jasne? Wykonać.

Przesrany los takiej bojowej jaszczurki... Wykorzystają, porzucą, potem zwierz z wszczepionymi sterówkami nie wie, co ma robić - obserwować, szukać partnerki, pożywienia, wody. W sumie zdycha po kilku dniach.

A mnie, człowiekowi, coś śmierdziało. Za długo siedzę w armii, żeby nie wyczulić sobie niucha. Jestem urodzonym wojskowym, urodzonym z ojca oficera, matki oficera, dziadka i babci oficerów i pradziadka oficera, który nie miał żony tylko konkubinę z kantyny. Oficerskiej. Nie wystarczy mieć kompkompa, tabletków, plecaka wspomaganie, wenflonów w czterech miejscach i rury w dupie, żeby dobrze walczyć. Trzeba mieć niucha.

A ja mam.

Zbliżał się enpel.

Nie powiedziałem tego na głos. Ale nie musiałem - przecież myślałem. Myślenie, jak zauważyłem kiedyś i nawet chciałem zająć się poważniej tym zagadnieniem, odbywa się dwutorowo: jeden tor to to, co jest zwerbalizowane, co nazywamy myślami, które "krążą po głowie", "przelatują przez umysł" i tak dalej. Ale gdyby nasze myślenie odbywało się z tą werbalną prędkością, nadal byśmy chodzili z

mamutami do lizawek a na ogień mówili "unga-unga!". Właściwe myślenie, jak sądzę, odbywa się gdzieś w drugiej warstwie, o której nawet nie mamy pojęcia, a dopiero stamtąd, jak coś się "umysli", to wyskakuje na powierzchnię jak puszczonego w wodzie bąk: "Mam pomysł! Wyglądę kąty tego kwadratu i będę miał coś, co nazwę kołem!".

Tak więc - pod powierzchnią trywialnego myślenia sformułowała się i wypłynęła do warstwy werbalnej myśl: Idą!.

A potem zostałem zmuszony do zweryfikowania swojego niucha, do zrewidowania poglądów na jego skuteczność - kompkomp odezwał się bezczelnie głośno. Włączyłem łączność.

DO KAPITANA OWENA YEATESA. W MIEJSCU - wyświetlił się nieszyfrowany (!) komunikat. - DO WASZYCH POZYCJI SIĘ ZBLIŻAJĄ SIĘ DWIE JEDNOSTKI CYWILNE, ZATRUDNIONE NA ZLECENIE SZTABU FRONTU. KODY ROZPOZNANIA URUCHOMIONE. PROSZĘ ZABLOKOWAĆ BRONŃ. PROSZĘ POTWIERDZIĆ OTRZYMANIE KOMUNIKATU.

No i masz. Potwierdziłem. Broń i tak by nie wystrzeliła w kierunku tych jednostek: skoro miały zlecenie, to nie było siły otworzyć do nich ognia - kody priorytetowe je chroniły. Ale co to za zlecenie? Teraz? Zdemaskują nas, ani chybi!

Włączyłem linię do sztabu. Pojawił się dostęp.

- Kapitan Owen Yeates - zameldowałem. - Kompania trzecia, odcinek "Trafo". Kod - dwanaście - siedem - cztery - dwa. Proszę o potwierdzenie przylotu jednostek zleceńowych. W aktualnej sytuacji ich przylot grozi dekonspiracją kompanii.

Grozi... Już dawno zostaliśmy namierzeni. Gadanie na głos nie może być niezauważone.

Co się dzieje?

- Sztab potwierdza zlecenie. Proszę z nimi współdziałać. To polecenie o priorytecie trzy.

I już.

Powiadomiłem kompanię. Wszyscy potwierdzili odbiór. Zielone. Mogą lądować. Broń zablokowana.



Z hukiem, jak na filmie, zza wzgórze wypadły dwa Messery Gigo. Job twoju! Kawał latania. Miasto.

Fabryka.

I zgadłem.

Wylądowali mięciutko. Spod skrzydła oderwało się jakieś grawigrono, poleciało w moim kierunku. Wsiadł o trzy kroki ode mnie, aż mi do oczu sypnęło piachem, jakiś cwaniak w wypasionym kombinezonie prosto z magazynu i wyciągnął do mnie rękę. Pod lewą pachą trzymał cienką pancertę.

- Joyhen Sabalada. Szef budowy.

- Budo...wy...?

- No. Za dwa dni będą tu takie okopy, że nie będzie wam się chciało z nich ruszyć. - Poproszę jednak o zlecenie... Trochę inaczej miało być.

- Nie wiem, nie wiem. - Zatrzepotał rękami. - Ja mam zlecenie, mam namiary, mam plany. Widzę nawet na oko, że wszystko się zgadza: okopy, dwa schrony typu be-de-dwa, niżej bunkier dowodzenia...

- Po cholere komu tu bunkier dowodzenia?! - Wytrzeszczyłem oczy. - Przecież my idziemy dalej, nie będziemy tu siedzieć...

- Bo też to i nie dla was bunkier. Ale nieważne. Chodzi tylko o to, żeby pana ludzie nie kręcili się nam pod nogami, nie przeszkadzali, no i nie kierowali na nas broni. - Poklepał się po kłapkach kieszeni na piersiach.

Widziałem. Dwa zestawy obiektów z mikrofonami. Nie daj Boże pokazać mu "fucka", w tej samej chwili donos poleci do sztabu.

- Zaraz, powoli. Nie przeszkadzać wam? - Nie ustępowałem mimo oczywistego bezsensu upierania się przy swoich racjach. - Przecież to nie my wpadliśmy na plac budowy, tylko wy na pole walki, i to wy...

- Pole walki?! - Rozejrzał się, teatralnie wytrzeszczając ślepią. Przyłożył dasek z dłoni do czoła i okręcił się na pięcie. - Gdzie tu się odbywa walka, panie kapitanie?

- W każdym razie to są pozycje kompanii i to wy przeszkadzacie, więc to wy się macie dostosować do okoliczności, a nie my do was. Zrozumiano?

- A niby czemu?

- Bo, powtarzam, to wojna. Może tego nie widać pierdzielonym cywilnym ślepiem, ale za chwilę może się tu rozpętać piekło...

- Zaraz? Jakie piekło?!

- Normalne. Piekielne. Tamci nadchodzą, wiem o tym. Ruszą do ataku, sypną galaretą, poleją skotchem, huk...

- Pan chyba zwariował, kapitanie? - Sabalada wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi, tym razem poważnymi oczami.

Aha, spuścił z tonu, już nie taki ostry, jak usłyszał, co może mu grozić! Uśmiechnąłem się protekcyjnie. Ale nie zdążyłem wyjaśnić mu dosadnie, co mam na myśli. Sabalada zrobił krok w moim kierunku i powiedział:

- Jaki atak? Jaka galareta? Puku-puku? - Stuknął się palcem w czoło. - Przecież mamy zlecenie. To jest zlecenie armii dla cywilnej, legalnej, międzynarodowej, homologowanej firmy budowlanej! Pan myśli, że tamci chcą sobie narobić koło pióra, strzelając do cywili?!

Oślupiałem. Potem jeszcze bardziej oślupiałem. Sabalada dokończył:

- Jeden strzał, a mamy placety wszelkich możliwych instancji, terenowych, krajowych i globalnych. I na ten oddział, na wasze dowództwo wszystkich możliwych szczebli runie cała potęga Ziemi. Rozumie pan?

Oniemiałem, w komplecie do oślupienia. Potem odzyskałem głos.

- Czyli oni nie mogą do nas strzelać?

- Do was mogą, wojskowi do wojskowych - tak. Ale, tak prywatnie, to nie zaryzykują.

Zachichotałem. Potem zarechotałem.

- Alarm! - ryknąłem do tablida. - Kompania! Na stanowiska! Przygotować się do...



- Kapitanie! - Sabalada podskoczył i beczelnie chwycił mnie za łokieć, omal nie skasował danych w tablidzie. Już miałem złamać mu szczenę, ale odskoczył i krzyknął: - Tam jest też cywilna firma! Chce pan do niej strzelać???

- Jak to?! - wrzasnąłem. - Skąd pan wie?

- To normalna procedura. - Wzruszył ramionami. - Myśmy złożyli ofertę na przetargu jawnym, każdy mógł to zobaczyć. A ponieważ na tym odcinku i tak nic się nie będzie działo przez kilka, kilkanaście dni, to i oni wykorzystali to, żeby podbudować swoje pozycje.

- Pan to wie na pewno?

- Przecież też musieli stanąć do przetargu! - Patrzył na mnie jak na idiotę.

Musiałem wyglądać jak idiota. Może nim byłem?

- Zaraz. Ja to usystematyzuję... Kompania! Odwołuję alarm! Powrót do stanowisk minus jeden. - Popatrzyłem na Sabaladę. - Jeszcze raz: pańska firma wygrała przetarg rozpisany przez armię na wykonanie umocnień, pał diabli szczegóły, tego odcinka?! A tamci, ponieważ wiedzą o tym... Zaraz, czyli wcześniej wiedzieli, gdzie będziemy danego dnia i o danej godzinie!

- Tak. Wiedzieli. I pańscy dowódcy też wiedzieli, że oni wiedzą, i wiedzieli, że staną naprzeciwko. No bo przecież nie mogli zostawić odcinka bez obrony?

- Dzisiaj!!! Ale myśmy mogli pójść którędy indziej, nie? Szybciej przebyć plateau?

- Y-khy! - Pokręcił przecząco głową. - A nasze zlecenie? Zaliczka? Arbitraż? Sąd pracy? A roz-ka-zy, w końcu!? - Pochylił się do mnie.

Pociemniało mi przed oczami. Poczułem, że mój komp aplikuje mi coś do żyły. Pewnie coś na uspokojenie, dotarło do mnie.

I uspokoiłem się.

- To niesłychane - powiedziałem normalnym głosem.

- Dlaczego? - Uśmiechnął się. - Przesadza pan. Przecież jesteśmy cywilizowanymi ludźmi. Wojna to wystarczająco brudna sprawa, by jeszcze dodatkowo ją sobie brudzić i utrudniać życie, zgodzi się pan ze

mną? Po co kopać po nocach okopy, saperkami, pazurami... Niewygodne są, ciasne, niebezpieczne, bez szalunku, bez wygód - wylizwał mi jak dziecku. - A poczeka pan dwa dni i będą prysznicze, kibelki, klima, solidny betanit nad głową. Niech sobie strzelają, panu to będzie wisiało i trzepotało!

- Ale oni też będą takie coś mieli, prawda?

- No tak. Przecież to też ludzie i też zapłacili.

Myślałem chwilę. Użyłem do tego tej pierwszej warstwy, tej werbalnej i wolnej, ale do czegoś tam doszedłem.

- Proszę mi powiedzieć - tam... to jest ta sama firma? - Wskazałem kciukiem za siebie.

Chwilę się zastanawiał.

- Nie całkiem - powiedział w końcu. - Filia. Terenowy oddział - przyznał niechętnie.

Zapewne zobowiązany był do okazania kontraktu czy jakichś innych papierów. Zakonotowałem, żeby w wolnej chwili je przejrzeć. A zanosilo się na wiele wolnych chwil. Przygryzłem dolną wargę, ale niczego z niej poza kawałkiem naskórka nie wydusiłem.

- Jak widzicie, że gdzieś wzbiera konflikt, wysyłacie tam swoich ludzi, zawiązujecie firmę i stajecie jako miejscowi do przetargu! - syknąłem w końcu.

- Proste i skuteczne, prawda? - Ucieszył się. - A ponieważ firma ma już wieloletnią tradycję i solidne podstawy... No, solidne podstawy, to nawet nie bardzo musi skakać po globusie. Kiedyś tak. Teraz praktycznie jesteśmy wszędzie.

Zastanowiło mnie jego zajknięcie. To też sobie zakonotowałem. Odetchnąłem głęboko.

- Dobra. Sprawdzę wszystko, co pan powiedział w dowództwie. Poproszę o jakieś kwity. Ewentualnie za godzinę pana gdzieś dopadnę i pogadamy jeszcze.

- Oczywiście, jestem tu i będę jakiś czas. Zawsze do usług. - Podał mi pancertę. - Kopia kontraktu, wszelkie dane teleadresowe.

Wziąłem teczkę. Zważyłem ją w rękę. Sabalada uśmiechnął się.



- Może pan sobie oszczędzić czasu. Za długo działamy w branży, żeby dać się na czymś złapać.

Zasalutował, za co mało go nie strzeliłem w pysk, i poszedł do swojego grawigrona. Wystartował delikatnie. Udałem się do kantyny, usiadłem i chwilę patrzyłem przed siebie, potem uruchomiłem diagnozer, zaaplikowałem sobie trochę trankwilizatorów i wezwałem dowódców plutonów.

- Ja, kurna, tego nie rozumiem - przyznał Toja, kiedy wyłuszczyłem im, w jaki sposób teraz będziemy wojowali. - Jak tamci załatwią sobie, że ich firma szybciej skończy... to zaatakują?

- Nie. - Winslow myślała szybciej od niego. - Odwrotnie. Bo jakby tamci się uwinęli, to my możemy zacząć do nich walić, a oni jeszcze nie, bo u nas będą cywile.

- Aha, czyli oni powinni przekupić naszych budowlanców, żeby się nasi zwinęli pierwsi?

- Tak. Ale ponieważ to jest praktycznie jedna firma - popukałem palcem w pancertę - to się im nie uda, a nawet nie może się udać nawet teoretycznie, bo są związani umową: o tej samej godzinie zaczynają i kończą.

Coś pisnęło na tablidzie Quinica. Rzucił okiem.

- Jaszczurki meldują... - Machnął ręką, nawet nie kończąc.

Po co nam teraz zwiadowcy w ciałach jaszczurek...?

Zaległa cisza. W upiornej ciszy, tej zmorze dobrego wojaka, bo taka cisza zapowiada jakieś święństwo, warknął nagle silnik, potem drugi.

Ruszyła budowa umocnień.

- Po co nam tu one? - zapytał Toja. - Nie ma czego zdobywać, nie mamy czego bronić. Mieliśmy pokonać ten pierdzielony płaskowyż i iść dalej... - poskarżył się.

- Za dwa dni będziemy mieli czego bronić - oznajmiłem. - Naszych wygod. A potem może całego sztabu.

- Rozmawiałeś z dowództwem - nawet nie zapytała tylko stwierdziła Winslow.

Pokiwałem głową.

- Wszystko potwierdzili. Mamy siedzieć i czuwać, oni mają budować. Potem dostaniemy rozkazy.

- Bunkier dowodzenia... - mruknął Toja.

- Z basenem - dodałem.

Trochę ich to zaskoczyło, ale tylko trochę. Wszyscy już mieliśmy w żyłach po kawałku apteki.

- Na pustyni? - zapytała niemal obojętnie Winslow.

- Ta. Tu jest podskórny ciek. - Machnąłem ręką.

- Ty, wiesz co? - Quinic zdobył się na wysiłek. - Może specjalnie tędy nas puścili, ponad wodą? Żeby można było basen zbudować?

- Całkiem możliwe - powiedziałem spokojnie.

Gównu mnie to wszystko obchodziło. Po tej zaaplikowanej porcji uspokajaczy?!

Popatrzyłem na zegarek.

- Czyli tak: postępujemy według dyrektywy osiem - zero - cztery. Wysoka czujność, zagrożenie - dziś wysokie, jutro, jak nic się nie będzie dziać, przejdziemy do średniego.

- O ile nic się nie zmieni? - sprecyzowała sarkastycznie Winslow.

- Oczywiście. Dyżurny pluton drugi - poinformowałem Quinica, skinął głową. - Reszta wypoczywa.

Skoro nie strzelaliśmy do siebie, wypuściłem "oko" na balonach, popatrzyłem na plateau z góry. Rzeczywiście - już byli. Jakby mnie ktoś pytał - dokładnie kompania jak nasza, bez ciężkiego sprzętu, bez artylerii. Tam też zaczynała się kotłowanina. Ruszyły buldożery, gotowała się jakaś pulpa w słonecznych kawiterach, gromada ludzi, nie kryjąc się, nie pochylając, we wściekle pasiastych, czarno-biało-czerwonych kombinezonach zaciekle ruszyła do ataku na pustynię. Za plecami miałem to samo. Tylko "nasze" kombinezony były w kolorze niebiesko-czarno-żółtym. Palowali grunt, preparowali betanit, ustawiali maszty, równali grunt pod lądowisko, wprowadzali kilka odnóg dróg.



Myśmy im tu nie byli wcale do szczęścia potrzebni, ani jednej filii, ani drugiej. Samozaspokajali swoje potrzeby.

Potem, w nocy, kiedy sprawdziwszy posterunki, przewracałem się z boku na bok na swoim łóżku, przyszło mi do głowy, że jednak byliśmy im do czegoś potrzebni. W końcu bez naszych potyczek nie mieliby co budować. Potem przyszła mi do głowy bulwersująca myśl - że to oni wywoływali wojenki. To by było logiczne - po co czekać, aż się rządy nie dogadają i wystawią przeciwko sobie armie? Prościej jest sprawdzić, gdzie i jakie struktury firmy są wolne i tam właśnie wywołać konflikt, żeby nie wozić ludzi, sprzętu, materiałów, żeby mieć dostęp do surowców, żeby mieć pozalutowane zezwolenia i homologacje!

Ta wizja była zbyt przerażająca, bym się ośmielił z kimś nią podzielić.

Następnego dnia urządziłem ćwiczebny alarm. Wojsko nie mające nic do roboty to wojsko zdemoralizowane, a takie się nie liczy i jest nawet groźne. Dlatego gdy pierwszy pluton zszedł był z posterunków, a wchodził trzeci, dałem sygnał do alarmu pomarańczowego i oba plutony, pierwszy i drugi pognały za mną w pustynię. Wykonaliśmy tam cały kompleks B-BC, czyli dość wyęźoną symulację boju, wypierniczyliśmy w powietrze kilka skałek, wypiekliliśmy na rozpalonym nieboskłonie kilka tysięcy laserowych sznytów i w wyraźnie lepszych nastrojach, spoceni i zadowoleni wróciliśmy do obozu.

Popołudnie.

Przyjemna niespodzianka - zamiast "pryszniców" w ustawionych pionowo szkieletach, w zamkniętym, szczynowatym, ciepłym obwodzie, czekały już na nas prowizoryczne, ale jednak stacjonarne sanitariaty; struga wody mogła powalić człowieka, woda zimna, czysta, kryształ pustyni, kurczę! No, spodobało mi się. Jak już mamy dziwnie wojować, to niech będzie dziwnie, ale i wygodnie. Pluskaliśmy się długo, długo... Przyszła do mojej kabiny Winslow, kolejny raz przemknęło mi przez głowę kilka głupich myśli o domu, rodzinie, szkrabach... I od razu ta upiorna wizja - muszą być w armii, bo co innego, skoro praprapra i prapra, i pra, i tata z mamą?

Późnym popołudniem zrzucano nam z Milit-Netu kilkadziesiąt filmów do wyboru, każdy się jakoś zagrzebał w wygodzie i coś tam oglądał. Dokoła

wrzała praca, druga zmiana, potem, wieczorem, kiedy poszedłem z dowódcami plutonu na kompleksowy obchód, sabaladasy uruchomiły trzecią. Dojechały do nich posiłki, ale nie wszystko, co miało być. Toja szepnęła, że słyszał, jak Sabalada z kimś się użera i czegoś tam nie dostanie mimo awantury.

Najpierw się wszyscy ucieszyliśmy, potem Winslow (jasne tropy! Jak ona ma na imię? Kochałem się z nią tyle razy, a nie wiem?!), bystro zauważyła, że teraz w naszym interesie jest, by im szło jak najlepiej, bo szybciej się uwiną i pozwolą zacząć walkę, a poza tym - skończą porządną infrastrukturę bojową, bo kto wie, czego nie zrobią, jak im zabraknie materiałów? Zgodziliśmy się. Bystrzacha z tej naszej... no, Winslow. Inspekcja się udała nad podziw, zero naruszeń regulaminu, kultura osobista i militarna, jak mawiał sierżant Kaszel. W kantine już działał barek oficerski, są pozytywy w tym gównie, są! - wysączyliśmy po trzy piwka, odczekaliśmy chwilę, żeby układ wspomagania zabrał się do ich usuwania z organizmów i poszliśmy spać. Ci, co mogli, rzecz jasna.

Poranna obserwacja wykazała, że jesteśmy obserwowani, i że prace u tamtych są w podobnym stadium zaawansowania. Przełożeni się nie odzywali, moje meldunki zostały przyjęte, zero komentarzy i dwa zera wskazówek. Działanie - bez zmian. W tajemnicy przed wszystkimi przejrzałem w namiocie kapowniczek oficera w rozdziale "Wojsko się nudzi". Zarządziłem generalny przegląd uzbrojenia, ale - na Boga! - ile może trwać przegląd broni? Rozciągnąłem to na dwie godziny, ale sam czułem, że to śmierdziawa, oficeria pomagała mi jak mogła, lecz nie dało się dłużej. Noszone w kichach z energozelu masterstony nie mogły, kurde, po prostu nie mogły być brudne, skoro się nie strzelało! Już miałem zakończyć tę farsę, kiedy wpadł mi do głowy genialny pomysł!

- Proszę o chwilę uwagi. Znaleźliśmy się w sytuacji, nie będę ukrywał, specyficznej, i postępować musimy adekwatnie - zacytowałem Kaszla, ale nikt się nie roześmiał.

My, w swoim czasie, też się nie roześmialiśmy. Po co więc go cytowałem?

- Nie będziecie, bo nie możecie być wprowadzeni w szczegóły, powiem więc tylko tyle: skracamy dystans odejścia od broni o połowę. Po-ło-wę. Czyli na osiemnaście stóp. Sapytania niedziękuję wykonać.



Nie uleciało w powietrze ani ćwierć decybelą skargi, ale co sobie pomyśleli, to wiem. Przystrojono broni osobistej, żeby się dezintegrowała po odejściu na osiemnaście stóp od wczepów, to pół dnia dłubania, pomiary, sześć testów, nowa polewa z energozelu. Od zasmarkania roboty!

I o to szło!

Ja tam miałem zawsze osiemnaście, jak i reszta oficerii.

Tak więc, dwie trzecie miały co robić, jedna trzecia kiła na posterunkach. Przejrzałem pocztę, wysłałem pocztę, sprawdziłem pogodę. Musiałbym mieć wiele fartu, żeby się zmieniła, po raz pierwszy od siedemdziesięciu dwóch miesięcy, kiedy to temperatura spadła ze stu osiemnastu do stu czteremnaśtu.

Na jedną dobę.

Przeklęte miejsce, pieprzona lokalizacja! Na dodatek zaczęły mi wpadać w oczy stada jaszczurek. Przypominały te nasze małe smoki wysłane do enpla. Przez godzinę złapałem sześć, położyłem po kolei na zimnej pokrywie kostkarki lodu w kantine, znieruchomiły w różnych pozycjach. Ustawiłem grupę tak, by wpatrywała się w napis "Enjoy Coca, soldier!" na kamuflażowym tle. Potem inni dodali jeszcze tuzin potworków. Połowa była Bogu ducha winna, ale druga połowa, gdy się nad nimi przejechało komórką - dygotała i "wybierała" ogonami numery. Jaja...

Po godzinie nasza łączność zameldowała, że mamy na podglądach naszych smoków też napis, chyba w jidysz, zrozumieliśmy tylko "dupa"...

Była siedemnaście, kiedy przyszedł Sabalada. Już sam ten fakt mnie nastroszył, nie spodziewałem się od tego typu niczego przyjemnego.

- Dzień dobry, kapitanie - powiedział grzecznie.

- Nie dobry, bo pana widzę - odparłem agresywnie w nadziei, że się go pozbędę.

Albo że mnie sprowokuje i będę mógł mu przyrznać.

- Panie kapitanie - ciągnął, z wyrzutem patrząc mi w oczy. - Pan nie rozumie, że jesteśmy po jednej stronie?

- Balustrady - mruknąłem odruchowo.

- Barykady chyba? - Zmarszczył czoło, intelektualista jeden.

- Basenu! Czego pan ode mnie chce?

- Wypożyczenia sprzętu: mikroskoparek, sond, kilka giga z pana kompa...

- CO-O?!!

Popatrzył na mnie tak, że gdybym nie był wpakowany w kevlar, osmaliłyby się włosy na piersi, i wyżej, i niżej. Wyjął z kieszeni pancertę i podał mi.

Przyłożyłem palec do dekonsora, pancerta otworzyła się, wsunąłem ją do czytnika. Popłynęły literki, dołożyłem deszyfrator.

KAPITAN OWEN YEATES. W MIEJSCU. POLECENIE: PRZEKAZAĆ DO DYSPOZYCJI KIEROWNIKA BUDOWY JOYHENA SABALADY, REPREZENTUJĄCEGO FIRMĘ WORLD S-T-R, ZLECENIOBIORCY O ZAFIKSOWANYM NUMERZE, ZBĘDNY NA DANYM ETAPIE SPRZĘT BUDOWLANY ORAZ PARABUDOWLANY. SPECYFIKACJA DO UZGODNIENIA NA MIEJSCU. PUŁKOWNIK R. T. W. HODGINS. KROPKA I SAMOZNISZCZENIE.

Psyk!

Armia nie powinna zdradzać łatwo swoich planów, pewnie nie jestem jej najlepszym z synów, skoro Sabalada zobaczył na mojej twarzy plan. Cofnął się o krok.

- Chodzi tylko o koparki i trochę gratów do wsparcia budowy. Nam nie dojechały pewne manele... - Cofnął się jeszcze o krok, dotarło do niego, że okazał strach i rozłościł się. - W końcu i tak nic teraz nie robicie, i nie będziecie robić, bo nie pozwolę, byście swoimi łopatkami... - pozwolił sobie na pogardliwe prychnięcie - ...wpięprzali się w zakres poważnych robót. Ja tu za wszystko odpowiadam...

- Ty?

Zawahał się.



- W odpowiednim zakresie, oczywiście. Ale schron ma być solidny, więc nie pozwolę dźgać w warstwie geosondami, żeby zakłócić równowagę...

- Poradzimy sobie bez was! - warknąłem.

- Nie sądzę. A nawet jestem pewien, ponieważ my nie odejdziemy stąd, a pan nie ma upoważnienia od odwołania nas. Tak więc proszę o sprzęt, i nie marnujemy czasu.

Kompletnie odruchowo zrobiłem krok w jego kierunku.

Odskokczył żwawo.

- Ej!? Zleceniobiorcy chyba nie uderzysz, co? Będziesz miał przesrane, chłopie, we wszystkich armiach świata, ze swoją na czele! Więc raczej spoko. No?! A jak was tu obudujemy, to będziecie mogli - prychnął przez nos - jak wy to mówicie: się napierdalać.

Zacisnąłem pięści, potem rozluźniłem mięśnie.

- Walczyć, kurwa. Nie napierdalać, bo to nie porachunki uliczne. Walczyć. Walczyć! Kurwa, kurwa, kurwa!! Walczyć, dupku!

- Tak właśnie, walczyć! - Mlasnął pogardliwie, odwrócił się i odszedł.

Wolałbym, żeby podszedł i kopnął mnie w tyłek, mniej by zabolalo.

Wziął, piździelec, i wdeptał w piach niepotrzebnego płaza bojowego...

Poczułem, że drga mi lewa powieka, zdziwiłem się, że med nie reaguje, popatrzyłem na ekran - reaguje, już mi strzyknął w krwiobieg tyle valium, że powinienem zważyć się w głęboki sen, ale nie zważyłem. Poczułem ból w lewym przedramieniu, coś jeszcze pakowało się do żył. Dobra, może pomoże. Nie pomogło za bardzo. Ale trochę tak. Pomaszerowałem do kantyny, wypłem piwo. Streściłem rozmowę Toi. Wolałbym Winslow, ale ona spała. Toja nie wymyślił niczego, na co ja bym już nie wpadł. Przy drugim piwie komp zapalił żółte światło - sprzeczność interesów: jak mam być na chodzie, to nie mogę pić piwa, bo med nie może wyprowadzić alkoholu z organizmu, bo wszak pompuje weń środki uspokajające, i na odwrót. Galimatiasso grosso.

Co ja tu robię? Czy nie ma już głupszego zajęcia na tym świecie?

- Może dwie rundy albo cztery? - zaproponował Toja.

Wreszcie jakaś rozsądna propozycja!

Waliliśmy się do upadu. Ale było fajnie. Połowa wolnych chłopaków przyszła popatrzeć. Potem inni stanęli w ringu. Odwróciłem się plecami do budowy, żeby nie widzieć, jak nasz sprzęt podłącza się do cywilnych cheapów i zaczyna kopać basen. Samorzutnie zrodził się turniej o puchar dowódcy kompanii.

Zaciekłość, z jaką ludzie walili się po łbach, rozczuliła mnie niemal do łez. Nie tylko ja miałem dość takiej wojny.

Bunt wisiał w powietrzu.

Spać poszedłem ostentacyjnie w swoim szkiełocie, nie w klimatyzowanym namiocie. A potem uznałem, że trwanie w ciepłym kokonie jest dla obserwatora równie śmieszne, jak porzucenie go, więc porzuciłem.

Wcale się nie wyspałem przez to lepiej. We łbie mi huczało, jakbym sam zebrał od całej kompanii po łbie, ale nie to było powodem. Musiałem podejść do kompanijnej apteki i podłączyć się na chwilę, bo zapas neuroleptyków zbliżał się do żółtej kreski. Nie chciałem, by komp powiadomił dowódcę batalionu: oto O.Y. wykończył swoje valium i nie pobiera nowego! Nic mi to nie pomogło. Zjadłem śniadanie. Z nudów poszedłem pod prysznic, zdjąłem cały kevlar, wrzuciłem do czyszczarki, sumiennie depilowałem ciało, przełożyłem wenflony, zażyłem rycynę. Wyszedłem czysty zewnątrz i wewnątrz.

Ale nie w kichach tkwiła zadra. Miałem ją w duszy.

A takiego haka, żeby wyjąć - nie widziałem. Dokoła mnie wrzała praca, ale wszystko to było nie tak, wszystko irytowało i złościło.

Wytrzymałem do południa. Kilka minut po dwunastej połączyłem się ze sztabem i poprosiłem o rozmowę z pułkownikiem R.T.W. Hodginssem.

- Panie pułkowniku, kapitan Owen...



- Spocznijcie, kapitanie. Co tam macie takiego pilnego?

Pewnie już zbierał się do przedobiedniego martini, kiedy się pojawiłem. Już czułem, że nic z tego nie będzie, ale brnąć musiałem.

- Panie pułkowniku, nie możemy z tym cywilnym balastem na szyi iść do przodu, nie może...

- A kto wam każe iść do przodu?

- No... dyrektywy ogóle...?

- A skąd wiecie, czy się nie zmieniły?

- Nie mogę wiedzieć, panie pułkowniku, ponie...

- Słusznie, i nie wiecie. Więc dlaczego mi zawracacie dupę, kapitanie?

Myliłem się, nie zabierał się do martini, tylko miał już je nalane, a ja mu...

- Melduję, że takie włączanie do działań militarnych cywilnych agend pociąga za sobą wiele konsekwencji.

- Tak? A jakich, kapitanie?

- Ograniczenia, panie pułkowniku. Jestem spętany, nie mogę nic zrobić, nie mogę się przesuwać, atakować, nawet wykonać zwiadu...

- No to nie wykonujcie! Siedźcie na dupach i korzystajcie ze słońca. Za chwilę będzie basen, a sztab - mówię w zaufaniu - nie przeniesie się tak szybko. Będziecie pilnowali lokalizacji, co jest równorzędne z urlopami, chłopie.

- Ale, panie pułkowniku, te firmy... Czy też może ta firma... Mam podejrzenia, że to ona sama wznieca konflikty. Przecież mamy przykłady całej serii tak absurdalnych działań, że można je wytłumaczyć tylko tak, że owa silna firma, mając w odpowiednim zakątku świata swój sprzęt i ludzi, prowokuje konflikty, żeby się na tym wzbogacać...

- Yeates?! Czy wyście aby tam nie ocieplieli? Na tej pustyni??? Co wy mi tu pierdzielicie? Jakie wzniecanie? Jakie absurdalne wojny? Wy wiecie lepiej, jakie są słuszne, a jakie nie? - Odsunął się od biurka, a potem niemal wsadził nos w obiektyw. - Wypieratego mi z łączą! Won!

Wykonałem.

Wolno policzyłem do pięciu. Równie dobrze mogłem liczyć do pięciu milionów.

Nic to nie zmieniło. Poszedłem w kierunku skarpy, ktoś o coś zapytał. Toja to był, czy... Nieważne.

Jaszczurka ma dość.

Wszedłem na skarpe, na plateau. Zrobiło się płasko i łatwiej się szło. Ruszyłem do przodu. Słońce trochę paliło, ale nie przesadnie. Mnie chłodził, ale nie było takiej medycyny, która by mnie powstrzymała. Przyspieszyłem. Ktoś z tyłu znowu coś krzyknął. Nie-waż-ne.

Przeszedłem w kłus. Do nieprzyjaciela było ile? Dwie mile? W biegu zrzuciłem hełm, odpiąłem wczepy, wyszarpnąłem wenflony, upuściłem na glinopiach. Zrzuciłem kamizelkę, biegło mi się coraz lżej, coraz lepiej, coraz sensowniej. Kątem oka zobaczyłem coś z prawej, Toja szczyrzył zęby i cisnął właśnie kamizelkę za siebie, jakiś żołnierz omal się o nią nie potknął. Z prawej też już biegli, tupali.

Wojować! Walczyć! Po to tu jesteśmy!

Przebiegłem milę, już widziałem całą kompanię z lewej i prawej. Chłopcy dostosowali krok, tru-du-dum, waliły buty w grunt. To jest to!

W połowie dystansu, kiedy zobaczyłem wyraźniej ich linię, zmierzającą w naszym kierunku, wyjąłem z kabury swojego masterstena i w biegu cisnąłem z całej siły w powietrze nad sobą. Przeleciał piętnaście stóp, mignął żółcią komp, broń przeleciała jeszcze trzy stopy i zdeintegrowała z lekkim hukiem. Słusznie, nieprzyjaciel nie powinien nigdy-nigdy zawładnąć naszą bronią. Z lewej i prawej rozległa się seria takich samych huków, po chwili to samo zobaczyłem przed sobą. Zrobili to co ja. Dobra.

Wyjąłem nóż i rzuciłem na ziemię, choć to było już niepotrzebne. Pryncypia zostały ustalone.

Walczyć, walczyć! Wojować. Nie napierdalać się z bunkrów, nie osłaniać tłustych pułkowniczych dup, moczących się w klimatyzowanych basenach.

Trzysta jardów przed linią enpla zwolniłem do marszu, ostentacyjnie, żeby już wszystko było jasne,



zacząłem podwijać rękawy. Na ich czoło wysunął się wysoki Afroafrykanin, błysnął siekaczami, i podwinął swoje rękawy.

- Będziesz miał co robić! - ryknął Quinic do mnie.

Fakt, gość był nie mały.

Pokazałem Quinicowi kciuk. Właśnie roboty, prawdziwej męskiej roboty mi brakowało.

Wywaliłem z oczu kontakty, splunąłem w garści. Podeszliśmy do siebie na odległość pięćdziesięciu jardów, trzydziestu. Z tamtych szeregów padło kilka instrukcji, jak zrozumiałem jego ludzie radzili mu, jak ma mi wpierdzielić. Zostało nam dziesięć jardów do przejścia.

Nie umawiając się, linia stanęła, dając dowódcom czas na inaugurację boju.

Dwa kroki. Trzy.

- Podasz mi dłoń? - zapytał.

Obrzuciłem go spojrzeniem. Nie widziałem noża, nie widziałem sztuczki w oku.

Podszedłem i podałem mu rękę. Spleliśmy palce na przedramionach.

Zaskoczył mnie, choć byłem niby czujny. Znał nasz system mikromigów - poruszając opuszkami palców, wystukał na moim nadgarstku komunikat.

Stałem chwilę i patrzyłem mu w oczy, potem wystukałem odpowiedź. A jeszcze potem cofnąłem się i przekazałem swoim ludziom: wykonuj za mną! I runąłem obok Murzyna do przodu.

Minęliśmy się i pognali, każdy swoją tyralierą, ze swoją tyralierą, na czele swojej tyraliery.

Walczyć. Wojować.

Tak, ale z właściwym przeciwnikiem.

Zleceniobiorcy chyba nie uderzysz, co? - pulsowało mi w uszach.

Nie. Bo bym miał przesrane.

Ale wpięprzyć budowlańcom przeciwnika chyba mogę, nie?

A oni niech się zajmą naszymi sabaladasami!

Nie zawsze ma przesrane bojowa jaszczurka-a-a!

Wrocław, styczeń 2004



- Tydzień! - Rzucił jeszcze raz w stronę naukowca i ruszył do wyjścia.

Dariusz S. Jasiński

Jezioro Śmierci

1.

Arizona 05.05.1997 - laboratorium NASA.

- Nienawidzę dni, kiedy sam, osobiście muszę zajmować się takimi sprawami! - Warknął lekko siwiejący mężczyzna, tonem, mogącym przyprawić o gęsią skórę.

- Staramy się pułkowniku, ale to w końcu też człowiek.
- Odparł splotzony rozmówca.

- To po jaką cholere pchał się pan do tej roboty, doktorze Blake? Musi pan w końcu zrozumieć, że pracuje pan dla NASA, dla Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, dla naszej demokracji. Mieliśmy kupę szczęścia, że obiekt dostał się w nasze ręce, a nie w łapy komuchów. Oni nie mają w sobie krzty humanitaryzmu, więc swój też niech pan zostawia w domu. Góra czeka na rezultaty. Jeśli nie zdobędziemy tego, czego od pana wymagamy, to prawdopodobnie spadną ze swojego stołka, a bardzo go lubię. Prócz tego obiecuję, że pan poleci ze mną. Daję panu dokładnie tydzień i oczekuję na raport z rzetelnymi wynikami. Zrozumiał pan?!

- Tak...

Pułkownik spojrział przez weneckie lustro na powód swoich zmartwień. Ta sprawa miała dać mu być może nawet awans, a tu nagle w tym imbecylnym doktorku odezwało się sumienie. Sam był prawdziwym żołnierzem i nie zawsze potrafił zrozumieć sposób myślenia cywilów. Zdarzało mu się czasami żałować, że nie urodził się w Związku Radzieckim. Tam, za taką opieszałość mógłby Blake'a po prostu rozstrzelać. Otrząsnął się z posępnych myśli.

2.

Arrizona 10.05.1997 - miasteczko Golden City

Chłopak wyglądał na około 20 lat. Był wysoki, miał ciemne, zadbane włosy. Jego ubranie z materiału przypominającego dżins, również wyglądało na schludne. Szedł główną ulicą miasta, rzucając wokół nerwowe spojrzenia.

Mieścina leżąca w pół drogi między Stafford a Willcox nie różniła się praktycznie od innych położonych z dala od centrów cywilizacji. Liczyła prawie stu pięćdziesięciu mieszkańców, miała sklep, stację benzynową i bar. W ostatnim z miejsc było zwykle tłumnie, bez względu na porę dnia. Chłopak najwyraźniej o tym wiedział, gdyż właśnie tam kierował swe kroki. Zanim przekroczył próg zatrzymał się na chwilę, wziął głęboki oddech i niezbyt pewnym krokiem wszedł do środka.

Jako, że w Golden City nigdy nic się nie działo (prócz dość częstych burd pijackich), toteż pojawienie się przybysza wywołało spore zainteresowanie tych, którzy jeszcze trochę kontaktowali. Obcy zwykle oznaczał kłopoty, ale mimo znacznego upojenia alkoholowego szybko uświadomiono sobie, że dzieciak jest bardzo wystraszony. Rozmowy przycichły.

Chłopak podszedł do bufetu.

- Co ci podać synu? - Spytał barman.

- Szklankę wody proszę. - Odparł młodzieniec.

Jego dziwny akcent dosadnie wskazywał, że nie pochodził z południa.

Ben Luster, niekwestionowany przywódca miejscowych pijacków, poczuł się do obowiązku reprezentowania grupy. Tym bardziej, że właśnie nadarzała się okazja do zrobienia kolejnego świetnego żartu. To dzięki mocnej głowie, twardej



pięści i ostremu dowcipowi zyskał sobie pozycję w lokalnej społeczności.

Pociągnął ostatni łyk piwa i z pustą szklanką podszedł do chłopca.

- Skąd jesteś, mały? - Spytał Ben.

- Z daleka, szukam swojego brata. - Odparł szybko młodzieniec.

Barman nie kwapił się z podaniem napoju.

- Sam, kurwa, nie stój tak, nalej naszemu przyjacielowi szklaneczkę "wody". - Ostatni wyraz mocniej zaakcentował, dodając do tego porozumiewawcze mrugnięcie. - Mamy tu bardzo dobrą "wodę". Mnie też nalej. - Dodał odstawiając puste naczynie.

Rzucił szeroki uśmiech po sali. Rozradowane gęby kumpeli utwierdziły go w przekonaniu, że jest wyjątkowo sprytny.

Barman nalał dwie szklaneczki czterdziestoprocentowej wódki i postawił ją przed klientami wdychając z dezaprobatą.

- Nazywasz się jakoś? - Spytał Ben.

- Steven Clark. - odparł przybysz.

- No, Steve, co z tym twoim bratem, wisi ci kasę, czy uciekł z twoją dupcią? - Luster parsknął śmiechem.

- Nie. Przybył w tą okolicę jakiś miesiąc temu, ostatnio widziano go w Stafford. Potem zaginął. Obawiam się, że mogło mu się coś złego przytrafić. Mam jego zdjęcie... - Chłopak przez chwilę pogrzebał w kieszeni, po czym podał fotografię swojemu rozmówcy.

Ben przyjrzał się zdjęciu, po czym zerknął na jego drugą stronę.

- Kodak... - Przeczytał. - Dziwne jakieś... Patrz Morgan - zwrócił się do barmana - to tej naszej pieprzonej dziury jeszcze takie cuda nie doszły.

Morgan przez chwilę popatrzył na trójwymiarową fotografię.

- Japońce zawsze coś wymyślą. - skwitował.

Ben znów przyjrzał się bratu Stevena.

- Nawet podobny do ciebie. Ale nigdy go nie widziałem. A ty, Morgan?

Barman tylko przecząco pokiwał głową.

- Będziesz musiał szukać dalej, ale najpierw się napijmy.- Benowi znów zagościł uśmiech na ustach - Żebyś go znalazł. - zaproponował toast.

Steve za przykładem Bena podniósł szklankę. Cała sala zamarła w wyczekiwaniu. Barman z dezaprobatą pokiwał głową, nie przestając osuszać ściereczką dopiero umytej szklanki.

- Dziwnie pachnie. - Stwierdził Steve wyczuwając zagrożenie.

- Bo to lecznicza "woda", zabija robale. - Zapewnił Ben, po czym przechylił szklankę.

Chłopak wziął małego łyka, po czym zaczął się krztusić. Cisnął szklanką o podłogę, by po chwili wciąż kaszłąc, klęczeć wśród odłamków rozbitego szkła, trzymając się za krtań.

Ben, jak i pozostali jego kumple, również zwijali się, tyle, że od spazmatycznego śmiechu. Nawet zachowującemu zawsze stoicki spokój Morganowi uśmiech zagościł na twarzy, co było widokiem bardziej, niż rzadkim.

Po kilkudziesięciu sekundach Steven opanował kaszel i wolno podniósł się z podłogi. Nie wiedział, czym był ten napój. Smakował potwornie i palił jak kwas.

Ben spojrział na chłopaka i nagle przestał się śmiać. W oczach przybysza ujrzał przerażający blask.

Steven nabrał powietrza w płuca i wdarł się początkowo z całą siłą w umysł Bena. Natychmiast jednak stonował swoje zapędy. Przez moment nawet był gotów go zabić, ale świadomość zostania mordercą utemperowała jego złość.

Ben znieruchomiał i nie wydawszy z siebie żadnego dźwięku upadł jak kłoda na podłogę Steven wyciągnął z dłoni nieprzytomnego zdjęcie brata i szybkim krokiem ruszył do wyjścia.



- Chłopaki! - Wrzasnął Morgan, który jako jedyny obserwował całe zajście. - Ten gnojek załatwił Bena!

Sala natychmiast umilkła. Jim złapał ze stołu butelkę i rzuciwszy tylko przelotne spojrzenie na Bena popędził za uciekinierem. Za nim ruszyło ośmiu innych, którzy byli w stanie jeszcze chodzić.

- Tylko na zewnątrz! - Rzucił za nimi barman.

Jim wypił dopiero jedno piwo, toteż nogi mu się nie płątały. Dopadł Stevena już po kilkunastu metrach. Zanim chłopak się odwrócił, by spojrzeć Jimowi w oczy, ten rozbił butelkę na jego głowie. Uderzenie nie było na tyle silne, by rozbić czaszkę, ale wystarczyło, by Steven stracił przytomność.

Jim żałował, że obcy nie będzie czuł kopniaków, jakie mu serwował. Nie zmniejszyło to jednak przyjemności w zadawaniu kolejnych razów.

Po chwili dołączyła do niego reszta pościgu. Zrobił się tłok, który uniemożliwił napastnikom zrobienie poważniejszej krzywdy leżącej ofierze.

- Oszaleliście? Zatluczecie go! - Do napastników doszedł nagle dziewczęcy głos.

Ku jej zaskoczeniu okrzyk poskutkował. Grupa zaciekawiona, kto próbuje przerwać im zabawę, przerwała lincz.

- Spieprzaj dziwko, to nie twój interes, wracaj lepiej do swojego trupka. - Odparł dziewczynie Jim, gdy tylko zorientował się z kim ma do czynienia.

- Przecież wy go zabijecie. - Próbowała przemówić im do rozsądku, choć zdawała sobie sprawę, że jest to wręcz niemożliwe.

- A co, to twój chłopak? Ach, zapomniałem, że ty się już z nikim nie pieprzysz, może ci znów zrobię dobrze, co?

Jim nowy pomysł postanowił natychmiast wcielić w życie. Podszedł do dziewczyny. Na dobry początek uderzył ją w twarz i starał się zerwać z niej bluzkę. Był to wielce interesujący widok, toteż zapomniano o Stevenie, który powoli odzyskiwał świadomość.

Zanim chłopak zebrał siły do ataku, Jim zdążył już przewrócić dziewczynę i właśnie ściągał jej spodnie.

Uśpienie ludzi, którzy nie potrafili się bronić przychodziło mu z łatwością, mimo bólu jaki odczuwał. Powalenie całej ósemki trwało ledwie kilkanaście sekund. Kiedy już się z nimi uporał podniósł się z miejsca i podszedł do Jima.

- Hej! - Warknął Steven.

Jim przerwał szamotaninę i spojrzał na Stevena. Chłopak po raz kolejny dziś wszedł w umysł człowieka i bez wahania pozbawił go przytomności.

Dziewczyna zrzuciła z siebie nieprzytomnego Jima. Mocno przestraszona wciągnęła spodnie i próbowała poprawić bluzkę. Steven podszedł do niej, by spojrzeć jej w oczy. Tym razem wejście było znacznie łagodniejsze. Musnął lekko jej wspomnienia z ostatnich chwil, by dowiedzieć się, co zaszło od momentu utraty przytomności.

- Dziękuję ci Kate. Uratowałaś mi życie. - Stwierdził, gdy już się wycofał z jej umysłu.

- Skąd znasz moje imię? - Zdziwiła się. - Przecież mnie nie znasz... Co im zrobiłeś?

- Nic wielkiego. Ci tutaj będą spali przez kilka godzin, tamten w barze trochę dłużej.

- Ale w jaki sposób?...

- Bardzo boli? - Zmienił temat dotykając delikatnie jej spuchniętego policzka.

- Troszkę...

Ponownie spojrzał jej w oczy. Opuchlizna wolno zaczęła ustępować.

- To cud. - Stwierdziła potężnie wystraszona.

- Nie, to medycyna. - Odparł.

- Jesteś lekarzem?

- U nas jest się wszystkim. Na imię mi Steven.

- Gdzie jest to "u nas"?



- Daleko stąd. Może ty mi pomożesz? Szukam brata...

- Powiesz mi w samochodzie. Teraz lepiej stąd chodźmy. Unikniemy kłopotów.

Podeszli do jej kilkuletniego chevroleta.

- Wsiadaj, pojedziemy do mnie, mieszkam cztery mile stąd. Może wspólnie sobie pomożemy... - Ruszyli.

Steven z uwagą przyglądał się jak Kate prowadziła pojazd. Po chwili jednak ustępująca adrenalina pozwoliła, by poczuł trawiący go ból. Chłopak zamknął oczy zagłębił się w sobie i zaczął regenerować organizm.

- Teraz możesz mi wszystko opowiedzieć. - Przerwała mu zabieg Kate. - Czego od ciebie chcieli?

- Gdzieś w tych okolicach zaginął mój brat. Szukam go od kilku dni. W końcu trafiłem tutaj. Wszedłem do baru, żeby czegoś się dowiedzieć, ale dali mi do wypicia jakiś palący przezroczysty płyn. Uśpiłem tego, który mnie oszukał i próbowałem uciec. Resztę widziałas.

- Jak znam życie, to załatwiłeś Bena. Należało mu się.
- Kate uśmiechnęła się na samą myśl, że ktoś wreszcie utarł nosa Lusterowi. - Musieli dać ci wódki.

- Nie wiem co to było.

- Nigdy nie piłeś wódki? Na jakim świecie ty żyjesz? - Zdziwiła się dziewczyna.

- Staram się unikać rzeczy, które mogą mnie zabić. - odparł Steven lekko obrażony.

- Właśnie widziałam... - Odparła z lekką ironią w głosie. - No, ale nie gniewaj się. Masz rację. Gdyby inni tak myśleli, to może żyłoby nam się lepiej.

- Sądzę, że tak. - Przytaknął Steven już udobruchany.

Zbliżyli się do pięknego piętrowego domku.

- Tu mieszkam. - Oznajmiła Kate, parkując przed wejściem.

Wysiedli z samochodu.

- Chodź, chcę ci coś pokazać.

Złapała Steve'a za rękę i poprowadziła na piętro. Dotarli do zamkniętych drzwi pokoju.

- Czy ty czytasz w myślach? - Postanowiła wreszcie zadać nurtujące ją pytanie.

- Mniej więcej.

- Nie wiem kim jesteś i w jaki sposób robisz te wszystkie rzeczy, ale na pewno masz nadprzyrodzone zdolności. Może uda ci się pomóc mojemu bratu.

Dopiero teraz puściła rękę chłopaka i otworzyła drzwi za którymi na łóżku, podłączony do aparatury medycznej leżał może 10-cioletni, bardzo blade dziecko.

- Możesz mu pomóc? - spytała z nadzieją w głosie.

- Co się stało?

- W zeszłym roku, w zimie, mieliśmy ja, on i rodzice, jechać na przyjęcie do znajomych. Ale udało mi się od tego wymigać. Byłam umówiona z chłopakiem... To był Jim... Ale rodzice wpadli na pomysł, że skoro ja będę w domu, to pojedą sami. Chcieli zostawić mi Tommy'ego, ale my z Jimem mieliśmy... No wiesz... Powiedziałam, że będę się uczyć i że Tommy tylko by mi przeszkadzał, więc w końcu zabrali go ze sobą. Nigdy nie dojechali na to przyjęcie. Policja uznała, że ojciec zasnął nad kierownicą. Zjechali na drugi pas i wpadli pod ciężarówkę. Rodzice zginęli na miejscu, a Tommy... Sam widzisz w jakim jest stanie. Gdybym z nim została, to chociaż on byłby cały. A tak leży w śpiączce, a ja zostałam całkiem sama. Lekarze powiedzieli, że nigdy z niej nie wyjdzie. - Kate spuściła głowę.

Steve przytulił ją do siebie.

- Zrobię, co będę mógł. Ale niczego nie mogę obiecać. Nie mam doświadczenia, a bardzo trudno jest ściągnąć kogoś z Labiryntu. Wierz mi, że twój brat miał dużo szczęścia, że jeszcze go nie dopadli, a przynajmniej nie zaciągnęli go do Jeziora.

- Jeziora? - zdziwiła się Kate.

- To bardzo skomplikowane. Długo musiałbym tłumaczyć, a chyba nie mamy na to czasu.

- Po prostu pomóż mu...



Steve wziął głęboki oddech.

- Boję się. - Przyznał szczerze. - Widzisz, ja też straciłem ojca. Ojciec był najlepszy w mieście, to on mnie wszystkiego nauczył, także tego, żeby wchodzić tam tylko w ostateczności. Raz namówili go do zajęcia się bardzo trudnym przypadkiem. Nie wrócił... Byłem przy tym. Dlatego boję się.

- Ja też się bałam, kiedy Jim z kumplami zamierzali cię zabić. - Kate zrobiło się głupio, że wykorzystwała taki argument, ale dla Tommy'ego uczyniłaby wszystko. Znacznie ciężiej było jej żyć ze świadomością, że to z powodu jej rozwiązłości był teraz prawie martwy.

- Wiem. Dlatego zrobię to dla ciebie. Ale lepiej wyjdź, to raczej nic przyjemnego.

- Chcę zostać.

Steve zbył to milczeniem. Spojrzał Tommy'emu w oczy, zasłonięte powiekami. To nie miało znaczenia. Potrafił przez nie przeniknąć, a potem już tylko musiał odnaleźć duszę chłopca. Dość szybko znalazł jego nić życia i po niej już bez problemu ruszył w głąb Labiryntu. Najważniejszym dla niego było nie zgubić jej, nie pomylić z tysiącami innych, bo już nigdy nie mógłby wrócić. Jego własna nić życia była dla niego niewidoczna.

Sunął po Labiryncie z każdą chwilą czując się tu coraz pewniej. Ojciec Steve'a był znakomitym nauczycielem. Już z mniejszym lękiem mijał dusze innych ludzi, z troszkę większym strażników - demony, o przerażającym wyglądzie, których zadaniem było doprowadzać dusze do Jeziora. Tych, którzy byli w stanie śpiączki, jak Tom, demony miały przekonać do porzucenia myśli o życiu. Sprawa byłaby prosta, gdyby chłopiec nie wpadł jeszcze w ich łapy. Ale po roku wydawało się to prawie niemożliwe.

Uczony od dziecka poczucia czasu w miejscu, gdzie czas płynął zupełnie inaczej, zdawał sobie sprawę, że w świecie zewnętrznym upłynęły ponad dwie godziny. Musiał się śpieszyć, przecież przybył tu w zupełnie innym celu. Wciąż nie wiedział co się dzieje z jego własnym bratem. Był jedynie przekonany, że żyje, choć dzieje się z nim coś złego. Jego zmysły były wyjątkowo wyostrzone poprzez nauki ojca, a bliźnięta mają dodatkową więź. Dlatego był pewien, że ma coraz mniej czasu.

W końcu poczuł, że zbliża się do Jeziora. Nigdy dotąd nie czuł takiego chłodu duchowego. Ci nieliczni, którzy doszli aż tak daleko opowiadali mu o tym. Po chwili zresztą ujrzał je - największą tajemnicę z jaką borykali się ludzie. Istniało życie po śmierci, ale jak ono wyglądało wiedzieli tylko ci, którzy zanurzyli się w toń Jeziora.

Nad samym brzegiem tajemnicy, której na razie nie chciał poznawać stał Tom w towarzystwie dwóch demonów. Zrozumiał, że dotarł w ostatecznej chwili, bo Tom był już chyba przekonany, żeby wejść i umrzeć.

- Tom stój! - Krzyknął rozpaczliwie.

Chłopiec zatrzymał się i odwrócił w jego stronę.

- Tom, nie wchodź, nie rób tego!

Małec zawahał się i zrobił krok w tył. Demony zawyły z wściekłości. Ich oczy zwróciły się w stronę Stevena. Świdrujące, nienawistne spojrzenia sprawiły, że poczuł się bardzo słaby. Nie miał jednak czasu na lęk. Zebrał siły i już po chwili odważnie przyjrzał się z czym przyjdzie mu się zmierzyć. To byli cyklopi. Z pewnością mógł trafić znacznie gorzej. W porównaniu z innymi nie byli aż tak odrażający, a i nie byli wirtuozami nawet we własnej dziedzinie.

- Odejdź duszo! - Zawołał jeden z nich.

- Barvon, daj spokój, nie widzisz, że to żywa istota, jeden z tych, co to myślą, że pozjadali wszystkie rozumy? - rzucił drugi.

- A myślałem, że w tych czasach żaden nie potrafi tu wleźć. - zdziwił się Barvon.

- Czasami się zdarzają. Ale w większości trafiają do Jeziora, tylko dwóch wróciło. Pamiętasz Theseusa? Przyszedł ratować kobietę, którą jak słyszałem i tak rzucił. To był pierwszy raz, kiedy ktoś wykradł ducha z Labiryntu.

- Tak, potem był jeszcze ten Nostre-Dame. Ale tylko chciał wiedzieć, co będzie w przyszłości.

- Nic do ciebie nie mamy żywa istoto. Śpieszy ci się do Jeziora? Jeszcze przyjdzie twój czas.

- Przyszedłem po chłopca. Nie wyjdę bez niego. - Stwierdził Steve.



- Augies, zapytaj małego, czy chce wracać? - Poprosił Barvon.

- Nie chcę... - Odpowiedział Tom. - Tam są moi rodzice, chcę być z nimi.

- No widzisz? Nie chce. Znikaj stąd, póki jeszcze mamy ochotę dać ci szansę.

- Tommy, tam czeka Kate. A rodzice na pewno nie chcą, żebyś teraz do nich przyszedł. Masz jeszcze całe życie przed sobą!

- Ona i tak mnie biła. Też jej dokuczałem, ale była większa ode mnie. - Tom wzruszył ramionami. - Wolę do mamy.

- Kate już nigdy cię nie uderzy. Obiecała mi to. - Skłamał, szukając argumentów, które mogłyby trafić do dziesięciolatka. - Powiedz, czego byś chciał?

- Mama miała mnie zabrać latem do Disneylandu... - Tom na moment się rozmarzył.

- Kate cię zabierze. Na pewno! - Steven żałował, że ojciec nie nauczył go, jak pertraktować z dziećmi.

- Mały nie słuchaj go, włóż! - Augies wyraźnie się wściekł. - A zresztą... Dość tego. Chcesz chłopca?

- Chcę.

- No to będziemy o niego walczyć. Na miecze.

Steve poczuł ulgę. Oczekiwał tego od początku. Zawsze trzeba było walczyć o odzyskanie duszy. Specjalizacją ojca były miecze. Dlatego i on był najmocniejszy w tej dziedzinie. Wszystkie demony miały swoją ulubioną broń. Cyklopi według dawnych wierzeń byli kowalami, toteż zawsze wybierali miecze. Tym razem na szczęście też.

Steven zdawał sobie sprawę, że dla niego porażka oznaczać będzie zerwanie nici życia. Dla demonów zaś przerwę w ich pracy, potrzebną na regenerację. Były nieśmiertelne, tak jak jego dusza, ale z zerwaną nicią życia pozostałby mu już tylko jeden kierunek - Jezioro.

W dłoni Steve'a zmaterializowała się broń. Augies i Barvon ruszyli do ataku. Steve najpierw chciał wyczuć możliwości przeciwników. Jednak po chwili odezwał się w nim instynkt i zatracił się całkiem.

Odpierał ciosy Demonów, samemu kontratakując. Byli dobrzy, ale on w swej determinacji był lepszy. Z rany zadanej mieczem Barvona ciekła niematerialna krew. Fizyczny ból też nie był prawdziwy, ale Steven miał wrażenie, że przesywa mu pierś. To było najważniejszym bodźcem. Steve miał w zapasie dwa najlepsze uderzenia. Zachował je na koniec, jeśli one by nie pomogły to czekała go śmierć.

Nie zawiodły. Po chwili Steve stał nad bezgłowymi zwłokami Augiesa i trupem Barvona z tkwiącym w jego sercu mieczem. Był z siebie dumny. Zawsze chciał być taki jak ojciec, jednak po jego śmierci za bardzo się bał. Teraz całkiem przełamał lęk.

Tommy przyglądał się temu z ciekawością.

- Zupełnie jak Luke Skywalker! Tylko szkoda, że nie walczyliście na miecze świetlne - skomentował malec.

- Chodź. - Steve złapał go za rękę - Wracamy. Twoja siostra się ucieszy.

Zerknął ponownie w stronę Jeziora. "Jeszcze nie tym razem" - przemknęło mu przez myśl.

Wracali po nici życia Toma. Musiał tylko uważać, by nie natknąć się na inne demony. Na szczęście te, które mijali zajęte były pracą.

Starł się szybko dotrzeć do świata żywych, jednak nagły impuls zatrzymał go w miejscu. Poczuł obecność bliskiej osoby. Bardzo chciał się mylić. Z przerażeniem rozejrzał się wokół. W końcu dostrzegł duszę, której szukał.

- Dan! Braciszku! - Wyrwało mu się.

- Steve! Co ty tu robisz?

- Przybyłem po ciebie. Czuję, że masz kłopoty. Zresztą... skoro tu jesteś, wiem na pewno, że masz.

- Obaj wiemy, że pęd do nauki mnie zaślepił, nie powinienem tu być, a tym bardziej nie chciałem dać się złapać, ale to dziwne miejsce. Z każdej strony czai się niebezpieczeństwo. Nie można nikomu ufać. W obronie własnej pokazałem, co potrafię i złapało mnie tutejsze wojsko. Zabrali mnie do jakiegoś laboratorium i próbują dowiedzieć się jakim cudem powaliłem pół oddziału nie mając broni. Musiałem uciec do



Labiryntu, tylko tu nie mogą mnie dorwać. Jestem gdzieś w pobliżu Mount Graham. Pomóż mi.

- Nic innego tu nie robię. - Odparł Steve.

- Zabierasz tego małego do świata?

- Tak.

- Nie powinieneś! Wiesz, jakie mogą być tego konsekwencje? Jeśli mnie z tego wyciągniesz, albo umrę nic złego nie powinno się wydarzyć, ale ratując komuś życie poważnie naruszasz zasady!

- Daj spokój, to tylko mały chłopiec. Zresztą jego siostra może mi pomóc uratować ciebie.

- Jak chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

- Trzymaj się braciszku jeszcze trochę.

- Śpiesz się, oni nie oszczędzają mojego ciała. Nie wiem, ile jeszcze zniesie.

Dalsza podróż obyła się bez komplikacji. Steve wrócił do swojego ciała. Czuł się bardzo wyczerpany, ale teraz nie miał czasu, by odpocząć. Gdzieś niedaleko umierał Dan.

Spojrzał na Kate. Była blada.

- Słyszałam jak rozmawialiście i jak walczyłeś. Nie ruszaliście ustami, to było okropne.

- Już po wszystkim, twój brat śpi. Postaram się jeszcze doprowadzić jego mózg do pełnej sprawności. Daj mi kilka minut, a potem możesz go odłączyć od tej aparatury. Zanim dojdzie całkiem do siebie może minąć jeszcze kilka, kilkanaście godzin. Nie był w swoim ciele od roku.

- Dziękuję...

Steven wtargnął umysłem w ciało Tommy'ego. Pracy było sporo, ale zawsze był pilnym uczniem, toteż usunął wszelkie uszkodzenia i zadowolony z siebie opuścił ciało dziecka.

- Znów muszę prosić cię o pomoc. Jest tu w pobliżu jakaś baza wojskowa? - spytał.

- Twoją rozmowę z bratem też słyszałam. Rzeczywiście niedaleko Mount Graham jest baza, ale pilnie strzeżona, nie dostaniesz się do środka.

- O to się nie martw, tylko powiedz mi, jak mam się do niej trafić?

- Samochodem będziesz jechał trzy godziny na północ. Poczekał. - pobiegła do sąsiedniego pokoju po mapę. - Widzisz to tutaj. - Wskazała palcem. Dam ci mój samochód. Zawiozłabym cię, ale Tom...

- Jasne, zostań przy nim. - Steve wstał.

- Zobaczymy się jeszcze? - rzuciła za nim Kate.

- Nie. Jak tylko znajdę brata wracamy do naszego świata.

- Kluczyki są w stacyjce, umiesz prowadzić? - spytała.

- Tak, chyba tak... Patrzyłem, jak ty to robisz.

- Jesteś z innej planety? - spytała z lekkim wahaniem.

- Mniej więcej. - odparł i ruszył nie oglądając się za siebie.

3.

Arizona 10.5.1997 - laboratorium NASA

Do środka wdarł się zostawiając za sobą nieprzytomnych strażników. Kilka minut kluczył po ogromnym ośrodku, aż dotarł do sali, gdzie na kozetce leżał jego brat. Nad nim stał człowiek ubrany w biały fartuch.

- Co pan tu robi? - Spytał ten bez przekonania.

- Przyszedłem po niego. - Steve wskazał na Dana.

- Za późno. - Stwierdził pełnym poczucia winy głosem doktor Blake. - Umarł 5 minut temu, zabierając tajemnicę do grobu.

- Zabiliście go?! - Steve był wstrząśnięty.



- Tak... Chcieliśmy zrozumieć kim jest, skąd ma taką moc. Pułkownik naciskał, zastosowaliśmy więc bardziej drastyczne metody. Czulem, że to się tak skończy. Zgniję za to w piekle. Chyba, że pułkownik stworzy mi je tutaj.

Złość wezbrała w Stevenie wszystkimi najgorszymi uczuciami. Falą nienawiści wdarł się w ciało doktora, siejąc spustoszenie jakiego żadna inna moc nie była w stanie zrobić. Tym razem nie czuł się winny. Wypalał neuron za neuronem, rozrywał każdą komórkę, nie zostawił nawet jednego całego łańcucha DNA. Nie mógł i nie chciał się opanować. Nie wiedział dotąd, że zemsta może dawać tyle energii i tyle ekstatycznej radości. Przez kilka minut był szaleńcem pozbawionym jakichkolwiek skrupułów...

Powoli nienawiść ustępowała. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dosłownie rozszarpał Blake'a. Krwawa miazga owinięta w ubranie naukowca nie dałaby się zidentyfikować nawet najdoskonalszymi metodami.

Steve klęknął przy martwym bracie.

- Wybacz mi Dan, nie zdążyłem.

4.

Arizona 10.05.1997 - maszyna czasu

Steven był rozgoryczony. Zarówno jego misja, jak i wypad Dana były głupotą. Nie słuchał, kiedy wszyscy mówili mu, że nie powinien ryzykować, że Dan sam jest sobie winien. Jego brat studiował świat przełomu XX i XXI wieku. Bardzo chciał poczuć go na własnej skórze. Ruszył w podróż i zaginął.

Każdy obywatel miał prawo odbyć tylko jedną w życiu podróż w przeszłość. Steven liczył jednak, że legislatorzy pozwolą mu wrócić tu znów, ale na kilka dni wcześniej. Jeśli tylko zdoła ich przekonać.

Zastanawiał się też nad swoim postępowaniem tu na 400 lat przed swymi narodzinami. Dan przypominał mu, że ingerencja w dzieje przeszłości może okazać się tragiczna w skutkach. Rachunek istnień mimo wszystko się zgadzał. Zabił jednego, uratował innego. Przy siedmiu

miliardach ludzi nie powinno to wyrzucić większego śladu na przyszłość.

Nacisnął przycisk.

5.

Arizona 23.06.2419 - świat Stevena

Pierwszą i ostatnią rzeczą, którą zobaczył był ogromny słup atomowego "grzyba".

"A jednak miało to wpływ " pomyślał ostatni raz jako żywa istota.

6.

Labirynt Planety Ziemia, 5 sezon 43-go ionu

- Zamykamy interes. To już chyba koniec. Wszystkie korytarze sprawdzone? Nikt się nie pałęta? - Spytał Wielki Demon.

- Minotaur i cerber jeszcze węższą, ale chyba posprzątałyśmy ten bałagan. Osiem miliardów dusz na raz, to była prawdziwa orka! Ale teraz na urlop? - Wyraził nadzieję Augies.

- Właśnie, przecież samozagłada tej rasy była przewidziana na 8 sezon, mamy trzy sezony wolnego? - spytał Xon.

- Niestety, Stwórca właśnie wymyślił nową rasę. Przewiduje na jej istnienie 2 sezony, potem dopiero na wypoczynek.

- To znaczy, że Stwórca specjalnie zniszczył tych naszych... - Skonstatował Barvon.

- Zaczynali być nudni i wcale nie zamierzali się unieczystwić. Zamiast wynajdować nowe sposoby



zniszczenia i zabawić Stwórcę zaczęli studiować własne dusze i trzeba było coś z tym zrobić. Toteż potrzebna była mała ingerencja w przeszłość, a wszystko zapoczątkował jakiś Steven. - Wyjaśnił Wielki Demon.

- Skądś znam to imię. To był chyba ten, który nas pokonał w ich XX wieku. - Augies pogładził szyję na samo wspomnienie przegranej walki - Jak oni siebie nazywali? Ho...? - Usiłował sobie przypomnieć.

- *Homo sapiens*. - Barvon wykazał się pamięcią.

- Człowiek myślący. Myśleli, że po wejściu do Jeziora czeka ich dalsze życie. A oni tylko rozpuszczali swe dusze w plazmę, z której Stwórca zrobi kolejną rasę, a potem następną i tak do końca świata... - zarechotał Xon.

- Nie ważne. I tak ich już nie ma. A my mamy kolejną robotę. - stwierdził Augies.

- Czysto! - Wrzasnął od progu Minotaur. - Co dalej?

- Przenosimy się na inną planetę, powiadom resztę żeby zwinęli Jezioro, prześlijcie je do Stwórcy, zobaczymy, co tym razem ulepi? - Zadumał się Wielki Demon.

- Od czasu, gdy nas zrobił, nic dobrego mu nie wyszło. - skwitował Minotaur.

Wszyscy rozeszli się, aby spakować walizki, czekała ich przeprowadzka.

Pabianice 28.05.2005 r.



Michał Skrzypek

Cmentarz

Słońce prażyło niemiłosiernie z nieboskłonu. Miało szary, trupi kolor. Jediną ochłodą był wiejący raz od czasu lekki wiatr. Gordon przeczesał włosy, wytrzepując przy okazji pył. Pod jego ciężkimi butami piasek trząskając trząc o skaliste podłoże jakby był prasowany młotem na kowadło. Wszystko wokół porośnięte było gąszczem krzewów o kolorach od żółtego, poprzez czerwony aż do brązowego. Szedł w miarę szybko, przynajmniej na tyle, na ile pozwalały mu warunki.

Wydawałoby się, że dokładnie wie gdzie podąża. Jednak jeśli objąć wzrokiem większy skrawek terenu, nie było po prawdzie gdzie indziej iść - kolczaste rośliny i ogromne głazy skutecznie przeszkadzały w poruszaniu się w innym kierunku.

Uwagę mężczyzny przykuł dziwny dźwięk dochodzący z kierunku jego marszu. Wzbudziło to jego czujność, mimo to nie przyspieszył. Wyczulony słuch wychwycił teraz nawet lekki powiew wiatru, który śmigał wśród skał wydając cichy gwizd. Jednak odgłosy z oddali nie były wiatrem, lecz metalicznym zgrzytem i trzaskaniem.

Wychyliwszy się zza pagórka zobaczył źródło dźwięku. Był to robot, który bezmyślnie, jakby się zaciął, próbował wspinać się na stok góry, wciąż niedosięgając swojego celu. Mężczyzna skierował się w jego kierunku, przyglądając się maszynie.

Miała ponad dwa metry wysokości i zbudowana była na wzór człowieka. Dźwięk metalowych "butów" przerywany był przez piekielny hałas i łoskot spadających kamieni wraz z robotem na dół. Cykl ten powtarzał się nieprzerwanie. Maszyna była niczym Syzyf próbujący osiągnąć niemożliwe.

- Stań - powiedział. Bez odpowiedzi. - Stój! - ponowił próbę, równie bezowocną jak poprzednia.

Spróbował mu zagrozić drogę, lecz musiał odskoczyć, gdyż inaczej zostałby zmiażdżony przez tytanowe cielsko nawet nie zauważony. Próby

dostania się do jego wewnętrznych obwodów, podobnie jak zatrzymania go, również spełzyły na niczym. W ostateczności zaczął krzyczeć do robota ze zrezygnowaniem - i to nie pomogło. Usiadł więc w końcu na ziemi obserwując ten dziwny cykl.

Idzie, idzie, idzie, osuwa się i spada, i znów na powrót idzie i idzie...

W spokoju obserwował bezmyślne poczynania maszyny, próbując zrozumieć ich cel. Zdał sobie sprawę, że często bywa tak z ludźmi, którzy pragną czegoś z całego serca. Prą wtedy w kierunku spełnienia tego marzenia, nie martwiąc się o nic innego. Gdyby tylko udało mu się go zatrzymać, mógłby skorzystać z jego obwodów i wysłać sygnał o pomoc. A tak jest skazany na pustynie. Być może i śmierć.

Rzucił w robota kamieniem ze złości. Odpowiedział mu tylko pusty brzdęk.

Spojrzał na piasek i trawę zsuwające się wraz z robotem na dół i w jego oczach przemknęły iskierki współczucia. Na jałowej ziemi trawa na pewno musiała zginąć. Przedtem w cieniu pagórka miała szansę przeżyć i żyć pełnią swego organicznego życia, w odległej przyszłości być może nawet zarastając pustynię i przekształcając ją w zielone łąki. Wzbudziło to w nim wściekłość - jakże tak można nie martwić się o nic i niszczyć wszystko na swojej drodze! Pod wpływem tego gniewu rzucił się na robota, lecz ten zamiast runąć na ziemię, uderzył i odrzucił mężczyznę na bok, samemu dalej próbując wykonać swoje "zadanie". Gordon pożałował tylko tego co uczynił i poturbowany wstał otrzepując się z piasku. Tchnęło to jednak w niego kolejną myśl:

- Ja również stałem się, jak przyroda, ofiarą tego bezmyślnego pragnienia. - Lecz nagle zrugął sam siebie w myślach. - Dlaczego przypisuje tej maszynie ludzkie cechy? Przecież to tylko bezmyślny twór... - po chwili zastanowienia, mrużąc oczy przed światłem słońca dodał:

- Nie... ludzie też czasem bywają bezmyślni niczym ta maszyna - niszczą wszystko w swej drodze do spełnienia. - Patrząc na stok na który wspinał się robot, dodał w myślach:

- A nawet cel swojego pragnienia...



Jeśli już mu się uda wdrapać na ten szczyt, narazie nieosiągalny w jego oczach, to potem, gdy już zobaczy co jest na szczycie, ruszy dalej zostawiając swe chwilowe pragnienie. Gordon spuścił oczy załamany swoją bezsilnością.

Mając dość rozmyślań obchodząc stok z boku, dłuższą, lecz łatwiejszą drogą, wspiał się na szczyt. Teraz już z góry spozjrzał na robota z wyższością w oczach. Zaśmiał się w duszy, sam nie wiedząc z czego się śmieje - z głupoty robota?

Nie chcąc więcej rozmyślać ani patrzeć na maszynę, ruszył dalej pragnąc uciec od tej piekielnej pustyni.

Przemierzając pustynię, teraz w mroku wieczoru, to co parę godzin wcześniej wydało mu się ogromną szarą gwiazdą, tak naprawdę było dwoma wirującymi wokół siebie. Dodatkowo obie były w różnych kolorach, które dopiero po złączeniu dawały dziwnie sztuczny popielisty blask. Gdy to fenomenalne zjawisko chowało się za horyzontem, gama barw zwiększała się z minuty na minutę. Niebieski i żółty kolor były po oczach. Wydawało się to niemożliwe, iż osobno tak piękne, razem dawały taką grobową atmosferę całej planecie.

Jednocześnie pojawiły się na niebie dwa księżycy planety. Większy, czarny jak atrament, pochłaniając prawie całe światło pobliskich dwóch gwiazd, był niczym czarna dziura na tle gwieździstego nieba. Mniejszy, popieliste szary kuzyn czarnego, był jakby jego przeciwieństwem - odbijał światło, pozwalając by mknęło dalej w mrok przestrzeni. Gordon z zaciekawieniem spoglądał na ten rozświetlony księżyc, ponieważ był dziesiątki razy jaśniejszy od swego dalekiego krewnego krążącego wokół Ziemi.

Wcześniej postanowił, że po zapadnięciu zmroku poszuka miejsca na nocleg i spróbuje się przespać, lecz wtedy nie wiedział, że noc jest niewiele ciemniejsza od dnia i droga jest łatwiejsza bez słońc świejących z nieboskłonu. Jedynie niebiesko szary poblask bił od wszystkiego przyjmując kolor księżyca, lekko drażniąc oczy. Mężczyzna mimo zmęczenia postanowił iść dalej i poszukać miejsca na postój, by ukryć się przed gorącym podczas dnia. Starał się obserwować okolicę jak najdokładniej, lecz od czasu,

gdy wydostał się z kapsuły ratunkowej, widział tylko pył i piasek. Nie wspominając o bezmyślnym robocie.

- *Ciekawe czy udało mu się wdrapać na stok - pomyślał. Szybko jednak dodał w myślach z niesmakiem, że nie będzie się tam wracać tylko po to, aby zaspokoić ciekawość. Rozmyślenia przerwał mu cichy grzmot dobiegający z oddali. Począł nasłuchiwać i rozglądać się po horyzoncie w poszukiwaniu jego źródła. Znalazł je - były to odległe błyski jakiegoś rodzaju burzy w kierunku z którego się kierował. Nie przypominała jednak takiej, jaką znał z Ziemi. Błyskawice, czy coś co bardzo je przypominało, miały jaskrawo niebieski kolor. Nie była to pierwsza różnica - grzmot trwał ponad paręnaście sekund - tak też samo wyładowanie. Ciarki przeleciały mu po plecach. Ruszył dalej przyspieszając kroku.*

Gdzie ja właściwie idę? - myślał. - Czy na tej zapyziałej planecie żyje cokolwiek inteligentnego? Robot, prawdopodobnie z uszkodzonymi głównymi obwodami, nie zaliczał się do przegródki "inteligentny".

- Czy żyje tutaj cokolwiek? Jest trawa, są krzaki, wniosek z tego, że prawdopodobnie zwierzęta również. Ale to nie znaczy, że bytuje tutaj cywilizacja na miarę ludzką... Jednak muszę iść. Stanie w miejscu i czekanie na pomoc, która najpewniej nie nadejdzie, jest równoznaczne z samobójstwem. Tym bardziej z tą burzą zbliżającą się z sekundy na sekundę.

Na horyzoncie bezkresu krzaków i pustyni zamajaczył, niewielki jeszcze, punkt. Ta nowość w otaczającym Gordona świecie ponownie wzbudziła jego ciekawość. W jego umyśle w mgnieniu oka wyrosły dziesiątki hipotez co do znaleziska:

- Może to budowle obcych? Albo statki kosmiczne, które przybyły mi na pomoc? - Nawet nie zwracał uwagi na niedorzeczność tych myśli.

Zaabsorbowany przez nowe odkrycie nie zauważył, że krajobraz się zmienił. Krzaki i trawa zniknęły, piasek został zastąpiony przez kamienie i żwir zmieniając erg w pustynię kamienistą. Ostre kamienie jeszcze bardziej przeszkadzały w chodzeniu, lecz mimo tego oraz zmęczenia, Gordon przyspieszył, kierując się na obiekt zafascynowania.

Wraz ze zbliżaniem pojawiało się coraz więcej takich punktów. Gdy już był wystarczająco blisko



udało mu się rozpoznać czym są. Były to kamienne kolumny niczym w północno-amerykańskiej Arizonie. Ostudziło to jego zachłanność, ponieważ spodziewał się czegoś bardziej interesującego. Teraz poczuł ile siły i energii włożył w ten niemalże bieg. Zakręciło mu się w głowie. Szybko znalazł kamień na który mógł usiąść bez obaw o pokaleczenie się i spoczął dysząc głęboko.

- Ciekawe czy ktokolwiek inny z załogi przeżył - zapytał sam siebie, masując twarz ze zmęczenia. Przetarł również oczy, mrugając zawzięcie, ponieważ niebiesko-szare światło księżyca dawało się we znaki.

- Nasz statek "Achilles" w końcu miał dziesiątki kapsułek ratunkowych i na pewno komuś również udało się uciec. Robot był namacalnym dowodem, tego, że nie tylko ja przeżyłem. Załoga liczyła ponad stu ludzi, to niemożliwe bym tylko ja przeżył. Niemożliwe! Złapał się za głowę, by odpędzić niewiarygodne wyobrażenia o śmierci w samotności, na bezludnej pustyni, na nieznaną planetę.

- Oby tylko inni nie mieli tyle pecha, by wysiadła im komunikacja... - dodał z nadzieją.

Szybko wyraz zadowolenia na jego twarzy ustąpił miejsca wyrazowi zainteresowania, ponieważ jego oczy wypatrzyły coś czego wcześniej nie zauważył - pewnie z powodu zmęczenia. Pospiesznie ruszył ku dziwnemu czarnemu punktowi znajdującemu się przy jednej z tych ogromnych kolumn. Wyglądał jak jakaś pieczara bądź grot.

- *W końcu znalazłem miejsce na nocleg* - pomyślał uradowany.

Przed wejściem do jaskini leżało pełno piachu. Kamienie przed nią były całkowicie przykryte. Co było w samej pieczarze? - trudno było z daleka powiedzieć; było w niej ciemno, poza tym, z tego co było widać w niebieskim świetle księżyca, tunel szybko zakręcał i niknął za ścianą. Gordon z trzaskaniem dochodzącym spod butów podszedł do wejścia i poczuł zimne, wilgotne powietrze dochodzące z wewnątrz. Zachwycony przyjemną ochłodą odetchnął głęboko i wkroczył do środka.

Odgłos kroków rozbrzmiał nagle z echem, którym powrócił dopiero po paru sekundach. Za pierwszym zakrętem było już całkowicie ciemno, jednak oczy Gordona szybko przyzwyczyły się do mroku i już po chwili widział kontury skał. Przyjemne

dla ucha były odgłosy kapiącej wody, która spadała rytmicznie, jakby w rytm muzyki.

Nagle Gordon odskoczył, ponieważ usłyszał chlupot dochodzący spod jego buta. Zauważył, że dokoła sięga jego wzrok, widzi taflę wody, na której powoli rozchodziły się fale spowodowane przez jego nieuważny ruch. Obszedł krawędź jeziora spostrzegając, że tunel którym tutaj wszedł jest tylko niewielkim lejem, prowadzącym nad brzeg.

Miał ogromną ochotę napić się tej "wody", lecz jego doświadczenie i szkolenie przeciwstawiły się jej. Wiedział, że woda może być skażona, a przynajmniej niezdatna do picia. Jeśli w ogóle była wodą, a nie jakąś nieznaną nikomu cieczą. Nagle zorientował się jednak, iż dziwnie trudno mu się oddycha.

Przerażony odruchowo ruszył do wyjścia i pospiesznie, na tyle ile pozwalał mrok, wyszedł z pieczary i westchnął z ulgą wciągając do płuc czyste powietrze. Odprężenie jednak nie trwało długo, ponieważ jego oczy w odległości paru metrów zauważyły kobietę idącą wolno w jego kierunku, potykającą się o niemal każdy kamień leżący na jej drodze. Zaskoczony Gordon, jakby sparaliżowany, nie mógł się poruszyć. Kobieta o jasnych włosach, ubrana w jasnoniebieską suknię wolnym, kulawym krokiem podeszła pod mężczyznę upadając przed nim na ziemię i ledwo dosłyszalnym głosem zaskomlała:

- Wody...

Gordon pchnięty odruchem, szybko skoczył w jej kierunku, próbując ją ochronić przed upadkiem. Delikatnie ułożył jej głowę na kolanie i powoli napił ją wodą. Jej cera, a głównie wargi ust, były całe popękane i suche. Cała wydawała się świecić na niebiesko.

- *Pewnie przez ten księżyc* - pomyślał.

Nie szczędził płynu. Już miał coś powiedzieć do dziewczyny, gdy kątem oka zauważył kolejny ruch na pustyni. Zdumiony odwrócił wzrok. Między kamieniami zauważył kolejną osobę kierującą się prosto na niego. A za nią szły kolejne trzy. Wszystkie ubrane były w przepiękne stroje niczym z bajki. Zaabsorbowany tym niewiarygodnym zjawiskiem nie zauważył nawet, że woda którą napił swoją "towarzyszkę" rozlewa się po kamieniach i wsiąka w piasek jakby przez nią przeniknęła.



Naszło go teraz nedorzeczne wyobrażenie, że są to umarli którzy wstali z grobów - wyobrażenie niczym z literatury grozy dwudziestego wieku. Zdając sobie sprawę ze swych, jakże nedorzecznych myśli, nagle wstał i puszczając "towarzystkę" oraz bukłak z rąk zaczął biec ile sił w nogach jak najdalej od tych ludzi. Wyobrażenia dopełniała dzieła, ponieważ słaby wiatr w uszach wydawał się przeraźliwym wyciem, a jego własny oddech, połączony z głośnymi uderzeniami butów o grunt, był rozdzierającym krzykiem rodem z piekieł.

Wtem poczuł kłujący ból w stopie i ostatnim co zobaczył były przybliżające się do niego kamienie.

Gordon obudził się. Poczuł ból w całym ciele, który po chwili zelżał. Pozostał tylko w okolicach brzucha. Denerwujący, drażniący. Powoli otworzył oczy. Widział tylko nieskazitelną biel. Nie pamiętał niczego. Jak się tu znalazł? Nie miał pojęcia.

Nagle usłyszał czyis głos. Kobięcy głos. Nie umiał określić skąd dochodzi.

- Leż spokojnie. Jeszcze chwila.

Nie sprzeciwiał się. Dosłyszał kroki jej butów. Podniosła coś. Znowu kroki. Wtem poczuł ukłucie na przedramieniu. Miał wrażenie, że traci wszelkie siły.

Obudziły go głosy. Rozmowa. Nie otwierał oczu.

- ... znowu stracił przytomność. Jest bardzo osłabiony, a my nie umiemy nic zrobić... - dzwoniło mu w uszach. Ledwo słyszał to co mówią.

-... powodem?

- Coś jakby go zżerało od środka. Nic jednak nie wykrywamy. Możemy tylko czekać...

Cisza. Domyślał się, że na niego patrzą. Otworzył oczy i zobaczył obok dwoje ludzi. Pielęgniarka i jakiś mężczyzna. Oboje podekscytowani pochylili się nad nim.

- Gordon, jak się czujesz? Możesz mówić? - Powiedział ten sam kobięcy głos.

Z trudem udało mu się coś powiedzieć:

- Diego... Mam dla niego wiadomość... - Wyraz twarzy jego oraz pary nad nim wyrażały jednakowe zaskoczenie. Powód był ten sam - to co powiedział. Może i dla niego nie byłoby to zaskoczenie, gdyby nie było to całkowicie coś innego niż chciał powiedzieć.

- Idź po kapitana - rzucił szybko mężczyzna do pielęgniarki. Tamta wyszła szybko z pokoju. Gdy tylko drzwi zamknęły się za nią z sykiem, zapytał:

- Co to za wiadomość?

Gordon tymczasem nie mógł pojąć co się dzieje. Nie umiał nic powiedzieć, mimo iż jeszcze przed chwilą mówił niemal płynnie i bez wysiłku.

- Gordon? - mężczyzna wyraźnie zaniepokoił się jego stanem. On jednak mógł się tylko przyglądać. Sprobaował się poruszyć, ale ciało odmawiało posłuszeństwa. Nagle zamknęły mu się oczy. Coś powodowało, by wyglądał jakby stracił przytomność. Usłyszał mężczyznę wychodzącego z pokoju.

Został sam. Nie miał kontroli nad samym sobą. Jedyne co mógł to myśleć. Miał wrażenie, że słyszy w głowie jakiś głos. Kogoś obcego. Mimo wysiłku nie umiał zrozumieć.

Po chwili usłyszał syk otwieranych drzwi. Głowa obróciła mu się w kierunku wejścia, otwierając oczy. Zobaczył pielęgniarkę, kapitana oraz mężczyznę, który wcześniej z nim został. Jego twarz wyrażała zaskoczenie. Diego zaś był widocznie zainteresowany, jednocześnie przejęty. Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, usłyszał swój własny głos:

- Kapitanie, miło mi Cię w końcu poznać. Gordon wiele mi o panu opowiedział - zaczął.

- To na pewno on? - kapitan szepnęła do mężczyzny. Tamten kiwnął głową. Tymczasem "istota" kontynuowała:

- Przejdę do sedna. To jest nasz system gwiazdny, a planeta nad którą właśnie orbitujecie również jest nasza. A nie życzymy sobie gości. Wasi poprzednicy nas nie posłuchali. Pozwoliliśmy wam posprzątać, ale nie możecie zostać tu ani minuty dłużej. Zaznaczcie ten teren na swoich mapach, by



przypadkiem już tu nikt nie zaglądał, ponieważ więcej już nie będziemy ostrzegać. - zakończył i stracił przytomność.

Kapitan nieruchomo patrzył na Gordona. Nie zdradzał żadnych emocji. Pod tą powłoką beznamiętności kapitan ukrywał zmagania w celu podjęcia właściwej decyzji. Zastanawiał się co dokładnie stało się z "Achillesem" i czy jego dowódca nie wybierał podobnie. Oni zginęli. Nie chciał ponowić ich błędu.

W końcu przekazał przez komunikator:

- Pierwszy - kurs na najbliższą bramę. Cała naprzód.

- Tak jest, sir.

Po chwili wyszeptał jeszcze pod nosem:

- Jeszcze tu wrócimy...

Gordon w tym momencie poruszył się jak na rozkaz. Odzyskał przytomność i spojrzał prosto w oczy Diega, które wyrażały jedynie strach.

- Więc giń!

Kapitan odskoczył z trwogą, jednak nic nie mógł zrobić na to co miało nadejść. Ciało Gordona eksplodowało. Statek rozerwało od środka. Potężny wybuch nie pozostawiał załodze żadnej nadziei na ratunek. Przecięty w paru miejscach kadłub rozleciał się na części. Wybuchy paliwa rozsadzały szczątki. Po chwili z potężnego okrętu gwiazdowego pozostał dryfujący na orbicie bezużyteczny złom, który dla jego załogi stał się cmentarzem. Dołączyli oni do załogi "Achillesa", jak i wielu, wielu innych...

Katowice, 2004-2005



Dawno, dawno temu, w odległej galaktyce...

Fandom Wars

Epizod I : Fandomkowość

Dlaczego, a raczej - dla kogo piszę ten tekst? Raczej nie piszę go dla siebie. Nie odczuwam jakiegś szczególnej potrzeby dzielenia się moimi refleksjami z innymi. Na pewno nie piszę też dla Creatio Fantastica, choć o to właśnie prosił mnie redaktor naczelny. Piszę dla Was. Dla ludzi, którym będzie się chciało to przeczytać, bo interesuje ich fantastyka i środowisko jej miłośników. Piszę dla Fandomu.

Czy jest jakaś różnica, jeśli zamiast w *Creatio Fantastica* zamieściłbym ten felieton w ziniu X, albo na portalu Y? Nie. Dla mnie nie ma żadnej. Każde z tych miejsc odwiedza określona ilość ludzi (często tych samych), w każdym moje dzieło trafi do określonej liczby odbiorców. Dla mnie, jako autora, byłoby nawet korzystnie, gdybym zamieścił go w kilku miejscach na raz. Ale nikt tak nie robi.

Autorzy tworzą zwykle dla jednego portalu, zinu, strony, stowarzyszenia. Mechanizm jest prosty - robimy coś dla portalu A, na przykład piszemy artykuł. Potem piszemy jeszcze jeden. Potem szefowie portalu awansują nas. Piszemy kolejne artykuły. W końcu już nie piszemy nigdzie indziej, niż na portal A. Przywiązujemy się do niego. W ostatnim stadium stwierdzamy, że portal A jest najlepszy ze wszystkich. Inne miejsca zaczynamy postrzegać jako konkurencję. Wybrawszy określony podmiot, pozostajemy mu zwykle wierni. Samo przywiązanie do jednego serwisu czy zinu nie jest jeszcze rzeczą straszną. Gorzej, gdy przestajemy zauważać, że poza nim istnieją także inne twory, które zajmują się tym samym. I nie koniecznie muszą one być dla nas konkurencją. Fanatyczne oddanie swojemu serwisowi, stronie, klubowi czy zinowi przybiera niekiedy przykre

oblicza i może budzić zniesmaczenie. Podam kilka przykładów.

Autor ma prawo wybrać, gdzie tekst zamieści. A ponieważ swojego wytworu nie sprzedaje, wciąż posiada doń prawa i może z nim zrobić co zechce. A jednak nie do pomyślenia jest (nawet dla mnie), żeby zamieścić ten sam artykuł na dwóch konkurujących ze sobą serwisach. Dlaczego? Nie wiadomo... Nikt by przecież z tego powodu nie stracił, a kilku czytelników można by w ten sposób zyskać. Spotkałem się nawet ze stwierdzeniem jednego z redaktorów, że skoro autor zamieszcza teksty na jego serwisie, oznacza to, że dobrowolnie zrzeka się praw do nich.

Kolejnym przykładem fanatyzmu jest na przykład to, że redaktorzy dużych i znanych portali przeglądają te mniejsze tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie kradną im newsów. Czy nie wydaje wam się to dziwne? Inna sprawa, że ich paranoja nie jest bezpodstawna, bo często zdarzają się wypadki plagiatu. Ale czy jeden news ma naprawdę aż tak dużą wartość? W imię czego ta walka? Moje, nie rusz? Przecież nie "moje", ale "nasze", bo to wszystko jest dobrem wspólnym całego Fandomu. Portal internetowy nie traci nic na swojej wartości, jeśli ktoś skopiuje z niego newsa. A jednak redaktorzy bezwzględni są w tropieniu plagiatów i poświęcają na to wiele swego cennego czasu, który mogliby spożytkować powiedzmy na napisanie jeszcze jednego artykułu. Podziwu godne oddanie sprawie.

Jedni twierdzą, że pluralizm jest zdrowy, bo stwarza konkurencję i zmusza do podnoszenia jakości usług. Drudzy uważają, że nadmierne rozdrobnienie sprawia, że nie ma miejsca, w którym można by zebrać naprawdę dużo ciekawych tekstów. Zjednoczenie daje więcej możliwości i ułatwia odbiorcom korzystanie z wytworów pracy autorów. Niestety, nie znam przypadku, żeby przedstawiciel którejkolwiek z tych grup pozwolił na wchłonięcie swojego portaliku przez jeden z owych molochów. Dlatego serwisy prześcigają się w ilości i jakości artykułów, walczą o każdego autora i walczą o użytkowników. W pogoni za "klientem" zatracają się sens całej zabawy. Liczba odwiedzin staje się wyrocznią i wyznacznikiem wartości portalu. Ale czy faktycznie mają one klientów?

No właśnie. Niestety, bardzo często zapomina się, że w fandomie nie ma konkurencji. Prawa wolnego rynku dobrze sprawdzają się w biznesie. Znacznie gorzej, gdy chodzi o hobby. Przyjaźni i



interesów, jak wiadomo, nie należy łączyć. Interesów w fandomie nie powinno być niejako z definicji. Jest tylko jeden interes - nasz wspólny. Niestety, nieczęsto się o tym pamięta.

Portale zamiast specjalizować się w pewnej dziedzinie fantastyki, pochłaniają coraz większe jej gałęzie, tworząc molochoy zajmujące się nie tylko RPG i fantastyką książkową, ale także karciankami, bitewniakami, anime, komiksem, planszówkami, grami komputerowymi, historią... W zasadzie nie wiadomo po co, bo kilka małych serwisów zrobiłoby to sprawniej. Z drugiej zaś strony mamy po siedem serwisów dotyczących jednego systemu. Wydaje mi się, że to przede wszystkim ciągle poczucie, że jest jakaś konkurencja, napędza te wypaczenia.

Oczywiście, współpraca między różnymi podmiotami fandomowymi kwitnie. Ale rzadko zdarzają się fuzje - choćby z tej prozaicznej przyczyny, że żadna ze stron nie chce zrzec się takiego drobiazgu, jakim jest własna nazwa. W najlepszym wypadku efektem jest łączenie nazw i powstawanie potworków takich jak "TrójFikcje-Gdynikon" (przepraszam organizatorów za przykład).

Zamykamy się w swoich małych gettach, w swoich fandomkach. Fandomki rosną jak grzyby po deszczu. A że każdy mieszka w swoim i stara się z niego nie wychodzić, tworzy nam się z tych fandomków globalna wioska. Rodzą się antagonizmy, narasta ksenofobia. I nie wiedzieć kiedy, coś zaczyna nas ssać - to z tej, to z tamtej strony.

Autorzy *Neuroshimy* wyszli ostatnio z ciekawą inicjatywą - zebrania wszystkich internetowych publikacji dotyczących tego systemu w jednym miejscu. I chwała im za to! Mam nadzieję, że wkrótce powstaną podobne inicjatywy dla innych systemów. Bo czyż nie lepiej, zamiast pisać kolejne teksty na SWÓJ portal i strzec ich zazdrośnie, zadbać o to, by docierały one do jak największej liczby odbiorców?

To nieprawda, że fandom jest zły i brzydki. Ma kilka wad i lubi sobie czasem possać, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Jest w nim wielu wspaniałych ludzi, którzy oddają całe serce swojej pasji. Niestety, niektórzy z nich zapominają, że wszyscy tak naprawdę stoimy po tej samej stronie i - jeszcze raz powtórzę - żadnej konkurencji sobie wzajemnie nie robimy. I na koniec taki mój mały apel: Twórcy portali, stron, autorzy tekstów, przygód, opowiadań, wszyscy, którzy coś stworzycie - napiszcie lub zróbcie coś dla

portalu, klubu, czy choćby forum, które uważacie za "konkurencję". To zbliża.

Artur "Żółw" Wieczorek



Nie łyso mi bez Zajdla, czyli wywiad z EuGeniuszem Dębskim

Jak sam powiedział o sobie: *Nasycony posiadacz dwóch nagród tylko dla mnie zainaugurowanych*. Pisze od ćwierć wieku i nie schodzi z list najwybitniejszych polskich pisarzy fantastycznych. Tłumacz fantastyki rosyjskiej, współtwórca sieciowego *Fahrenheita*. Również i do CF dołożył nieco swojego dając nam dobre rady.

Emil Strzeszewski: Od ponad 20-tu lat jesteś obecny na rodzimej scenie fantastyki. Trwasz oglądając wzloty i upadki pisarzy, stowarzyszeń, klubów, koterii w fandomie. Jakie to uczucie?

EuGeniusz Dębski: Nie odczuwam tego jakoś specjalnie. Dopóki nie popatrzę w lustro w ogóle nie czuję, że tyle minęło. Niestety, nie czeszę się, ale jednak zęby myję, z rana - na pewno, wtedy zauważam pewne zmiany. Wzloty... Generalnie mnie cieszą. Cieszę, bo jeśli zajmuję się fantastyką od ćwierć wieku, to chciałbym, żeby to nie było próżne zajęcie, zatem wszystko, co dobre raduje mnie. Upadki... Nie było ich wiele, parę klubów się rozsypało, zniknęły jakieś wydawnictwa. Ale - pojawiły się nowe kluby, niektóre odżywają, jak poznański. Powstają nowe firmy wydawnicze. życie sobie płynie...

ES: Czyli nie rozpaczasz nad Asocjacją Polskich Pisarzy Fantastycznych?

ED: Nie. Po dwóch latach działania, kiedy dotarło do mnie, że to się innym nie podoba, że nie czują potrzeby, że niczemu to nie służy - pokornie uznałem pomysł za chybiony, a co najmniej za przedwczesny. Kraj nie dorósł, trudno. W każdym razie szybko się działalnością społeczną nasyciłem. Inna sprawa, że mnie prywatnie to posłużyło bardzo, bo nagle doznałem dystansu do nagród, przestało mi być łyso, że nie mam Zajdla, że tu mnie pominęli, że tam nie docenili... Nie wiem dlaczego, ale jak się pocierałem o Srebrny Glob, to jakiś się stał zwyczajny. Opadła świętość... I przy okazji z innych nagród. Dziś już nie cierpię z powodu niedosytu. A poza tym nadal jestem posiadaczem dwóch nagród tylko dla mnie zainaugurowanych, więc jestem nasycony.

ES: Czyli EuGeniusz Dębski spełniony? Czy jeszcze coś na polu fantastycznym potrzeba Ci do szczęścia? Po ćwierćwieczu może coś jeszcze człowieka zaskoczyć?

ED: Pewnie, że tak! Chętnie bym zobaczył film według mojej powieści, w dobrej obsadzie. Z Harrison'em Ford'em, albo - jeszcze lepiej - Bruce'm Willis'em w roli Owena Yeatesa. Hołdów też nigdy za wiele. Jestem próżny... Miło mi nawet było, kiedy pan z okienka kasowego w banku popatrzył na kwitek i powiedział: *Eugeniusz Dębski... TEN Eugeniusz Dębski? Noo, miło mi, że jest pan klientem naszego banku!*. No i jestem nadal, choć oprocentowanie mają kiepskie... Inna sprawa, że i moje kapitały - niewysokie są...

ES: Niemożliwe! Tłumacz, pisarz, felietonista i na dodatek praca zawodowa i niewysokie kapitały?! Toż to prawdziwy człowiek renesansu to i zarobki powinny być "renesansowe".

ED: Po pierwsze, nie "pracuję zawodowo", czyli nie wychodzę do pracy. Piszę, tłumaczę, felietony to już rzadkość... Nie nagrywam chodliwych płyt, ani innych. Aktualna sytuacja finansowa jest taka, że nie szukam rozpaczliwie dodatkowych zajęć, ale też nie



przekraczam średniej krajowej nauczycielskiej, co nie jest - pewnie - szczytem marzeń Polaka. Realia życia naszego są takie, jakie są. Hit daje kasę, hitem jest to, co wykracza poza Fandom. Fandom to nakład 2-4 tysiące egzemplarzy, tym się człowiek nie zachłyśnie. Dopiero kiedy autor jest kupowany przez ludzi spoza getta, lub utrafi w gusta młodego czytelnika, który może stworzyć dużą "masę nabywczą", wtedy można - chyba - mówić o dobrych zarobkach. Sapkowski - to jest przykład pisarza, którego czytają wszyscy w Fandomie i masa ludzi spoza, którzy nie czytają poza nim żadnej fantastyki. To mu daje duży nakład. Ponieważ płaci się u nas najczęściej autorom procent od ceny zbytu (od egzemplarza sprzedanego lub wydrukowanego), to nakład 30 tys. razy "ileś tam" daje godziwy zysk. Albo - Pilipiuk czy Ziemiański. Obaj utrafili w gusta czytelników młodych, z dużych miast, odwiedzających regularnie Empiki... To im dało również duży nakład, bo powstała sytuacja, kiedy ci czytelnicy nawzajem się jakby podpuszczali: *Nie czytałeś jeszcze Wędrowyyycza? Nie masz drugiego tomu "Achai"?!.* Mnie i pierwszy i drugi wariant ominą. Może nie cierpię z tego powodu, ale też i nie jestem przesadnie zmartwiony. Mam swoje. I to też nie jest mało.

ES: Odnosnie rzeczy, które wychodzą poza getto fandomu. To dlatego zaciągnęło Cię do głównego nurtu? "Manipulacja Poncjusza Piłata" to żywe nawiązanie do Bułhakowa i "Mistrza i Małgorzaty".

ED: "Mistrz i Małgorzata" to jest rzecz wielka, przyzna każdy. A już ta historia Jezui i Piłata - powalająca. W każdym razie - większość czytelników i krytyków bardziej ceni tę Moskwę, symbole, nawiązania, krytykę ustroju... A ja może cenię to bardziej powierzchownie. Za to ta story mnie bardzo... hm... zauroczyła... Pewnego dnia pomyślałem, że mógłbym ją "odkręcić", chodziłem z tą myślą dobre 3 lata, bo ciągle nie miałem pomysłu, jak to rozegrać. Aż pewnego dnia: wiem! Usiadłem i tydzień później było opowiadanie. Jedno z lepszych moich, jak mi się wydaje. Ale nikt go nie docenia. A Parowiec wręcz powiedział mi, że nie puści, bo to jest nawoływanie do palenia kościołów. Nie wiem, za cholere, nie wiem, o co mu chodziło.

ES: Za to Sederko docenił. "Wizje Alternatywne" puściły i było to jedno z najlepszych opowiadań w zbiorze.

ED: No i takie coś lubię. Może nie było to pytanie, ale są też, jak widzę, miłe stwierdzenia. Dawaj jeszcze!

ES: Pochlebstwa czy pytania? (śmiech)

ED: Pierwszego nigdy za mało, pytania - też. Ale to wcześniej nie było pochlebstwem, pochlebstwo, to jak komplement - gładkie kłamstewko...

ES: A ciekawe! Czy w takim razie nie wierzysz czytelnikom, którzy chwalą sobie Twoje dokonania?

ED: Ależ wierzę! Chętnie wierzę! Poza tym - dlaczego miałbym nie wierzyć, skoro sam to napisałem. A przecież siadając do pisania za każdym razem chcę napisać coś, co powaliłoby na kolana. Nikt, zresztą, nie siada do klawiatury z myślą: "A teraz walnę knota że hej!"

ES: Przejdźmy na pole Twojego warsztatu. Marcin Przybyłek twierdzi, że podstawą do napisania tekstu musi być intryga. Jak to jest u Ciebie? Wystarczy pomysł, czy potrzebna jest odpowiednia konwencja?

ED: Dla mnie konwencja nie ma znaczenia. Wszystko zaczyna się od anegdoty, do fabuły, intrygi - tak. A potem rozważania, czy ten pomysł, to jest na hard SF, na fantasy, czy na realizm magiczny (Strugaccy), czy jeszcze coś. Ponieważ zaś pomysły dawno się skończyły (napisał to Lem 25 lat temu, wtedy byłem oburzony, dziś widzę, że miał świętą rację), pozostaje (i tu ważna jest konwencja) owinąć lekko wycmoktany cukierek w nowy zachęcający papierek i podać



czytelnikowi. A nuż nie zorientuje się, że wszystko już było, i łyknie? Na pewno jednak nie może być tak, że z premedytacją bierze się, przynajmniej w moim przypadku, starą intrygę: "Cofnę się w czasie i zabiję swojego dziad... nie - babcię!" i po kłopotcie. Musi być coś, co sprawia przyjemność podczas samego pisania, a co może być przyjemnego w przepisywaniu Asimova czy Dicka?

ES: Czyli równie dobrze można spleść konwencję albo przedstawić intrygę w zupełnie innym świetle niż to co dotychczas. W takim razie może fantastyka się skończyła?

ED: Na pewno nie. Gdyby po wyczerpaniu pomysłu kończył się nurt dawno by nie było kryminału: facet zabił drugiego i po śledztwie został schwytany. Mieliliśmy boom na SF, potem nastał czas fantasy, zrodził się cyber... A to modne jest urban fantasy, a to political fiction... Ciągłe coś się dzieje, ciągle coś bulgoce w tym kotle. Czasem miażdżyły się drażniące powonienie, ale tylko części czytaczy, bo inni wachają z lubością... Przyjdzie ktoś nowy, dołoży dREW pod kocioł... Coś się nowego uwarzy, albo nie nowego, ale smaczniejszego... Trasę Wrocław-Warszawa można pokonać pieszo, samochodem, koleją i to na kilka sposobów... Podobnie można i należy ciągle zaskakiwać czytelnika, podsuwać ciągle coś nowego, jak nie zmieniamy króla, to przynajmniej jego szmaty.

ES: Piszesz głównie science-fiction (wyjątkiem są tu teksty o xameleonie). Na dodatek stereotypowa fantasy Cię nie porywa (sam mówiłeś o tym w wywiadach). Skąd ten pociąg?

ED: Xameleon to też nie jest fantasy! Gdzie tam masz magię? Czary? Zaklęte miecze i rewiry? Nie ma. To może nie jest SF, ale też nie fantasy, na pewno. A dlaczego stereotypowa fantasy mnie nie porywa? Odpowiedź jest w poprzednim zdaniu - stereotypowa. Jak powiedziałem wcześniej - zaczynam od pomysłu fabularnego, jak go nie mam to nie siadam z myślą: Teraz sygnę coś z fantasy - miecz, koń, czara, jaskinia, rzeka, góra, wawóz... Fantasy jest najpodatniejsza na marne wtórności, dlatego boję się

tej odmiany, żeby się nie wyłożyć. A można, tego są przykłady na naszych półkach księgarskich, i to prosto z USA. A i rodzimych nie brakuje. Natomiast, gdybym się obudził z pomysłem na dobrą (moim zdaniem, rzecz jasna) fantasy to bez skrupułów bym to napisał. W końcu napisałem jedną z pierwszych polskich powieści fantasy: "Śmierć Magów z Yara", chyba tylko Piekara mnie wyprzedził.

ES: Ile z Dębskiego jest w tekstach Dębskiego?

ED: Och, pewnie sporo. Lansuję taką tezę, że pisarz, chce czy nie, świadomie czy nieświadomie, pisze niemal stale o sobie. O swoich lękach, o swoich smutkach, o swoich nieszczęściach, marzeniach, pragnieniach. O tym, jaki chciałby być (silny, przystojny, bogaty, uwodzicielski), albo jakim by być nie chciał (niski, kaprawy, bezzębny, zboczony, amoralny, przekupny). Kto by nie chciał pogalopować lasem, borem, łaską po serce i rękę i pół królestwa?! Kto by nie chciał, zaczepiony w ciemnej uliczce, dać nauzkę siedmiu ziomom w dresach? Kto by nie chciał, by szczuple dłonie Sandry Bullock oploty jego szyję?... I tak dalej...

ES: Recepta na tekst. W trzech słowach.

ED: Dwa: pomysł i praca.

ES: Co masz w planach literackich?

ED: Nic wielkiego: pisać. Skończyłem coś, co miało być dziełem życia. Za górnołotnie? Może. Zacząłem powieść w 1992 roku, pisałem z przerwami do 1997 i padłem. Przerosło mnie. W 2003 wróciłem do niej, zachęcony przez wydawcę. I skończyłem. Albo to będzie moja klęska, albo (po prostu) jeszcze jedna moja powieść. Tytuł roboczy, choć bliski ostatecznemu: "Krucjata "Gwiezdnego Szamana": Zemsta Magów z Yara". Poza tym tłumaczę sporo, bo lubię i jest popyt oraz honoraria. Teraz, do wakacji,



które u mnie zaczynają się 15 lipca będę poganiał z powieścią o takim detektywie, Owenie Yeatesie. Może jakieś opowiadanko? Plany, jak widać, takie sobie...

ES: A masz zamiar przyłożyć paluchy do jeszcze jednego internetowego przedsięwzięcia, czy dałeś się na spokój i przenieś do "rzeczywistości"?

ED: Na razie nikt mnie jeszcze nie usunął z Fahrenheita. Za dwa dni spotykamy się w redakcyjnym gronie. Będziemy dyskutować, co z nim, po śmierci Pacego (*wywiad był przeprowadzony jeszcze przed wydaniem rzeczzonego numeru Fahrenheita* - przyp. ES). Pewnie będziemy kontynuować wydawanie. A skoro tak, to po co mi inne sieciowe? Miałem pomysł na sieciowy "biznes", ale mnie syn skrytykował... Nie, to nie...

ES: Co to był za pomysł?

ED: A pewnie! Już ci powiem! Może jednak jest dobry? Sam go kiedyś odpalę!

ES: Powodzenia! I dzięki za wywiad!

ED: I Tobie za chęci!

Rozmawiał Emil Strzeszewski



Vuko wiedźmin

Jeśliby kogoś kompletnie nieznanego się na fantasy zapytać, z czym kojarzy mu się taka literatura, padłaby zapewne jedna z dwóch odpowiedzi - albo z *Władcą Pierścieni*, bo po olbrzymiej kampanii medialnej i sukcesie filmu trudno się spodziewać innej; albo ta, która bardzo długo funkcjonowała w powszechnej świadomości - otóż fantasy to literatura o wielkich mięśniakach, którzy spędzają życie na machaniu mieczem i ratowaniu skąpo ubranych, biuściastych panienek. Cóż, *Conan* jest jakby nie patrzeć kamieniem milowym dla heroic fantasy, ale został też sprowadzony do krzywdzącego stereotypu. W każdym razie, napisanie czegoś nowego o takim bohaterze sprawia poważny problem twórcom - i stąd straszliwy schematyzm większości takich dzieł.

Przełamanie tej konwencji na polskim rynku nastąpiło za sprawą opowiadań o Wiedźminie, gdy okazało się, że zawodowy tępicieł bestii może być kimś w rodzaju nieśmiertelnego Philipa Marlowe, ale w zasadzie niewiele to dało - powstało po prostu kilkadziesiąt (a może i kilkaset) jego klonów, z których większość natychmiast wylądowała w szufladach, a tylko nieliczne zostały z drzeniem serc przesłane redakcjom czasopism. Jak zwykle tylko pojedyncze okazały się warte publikacji.

A zatem napisanie czegokolwiek nowego przy tak skonwencjonalizowanej tematyce jest sztuką trudną - ale możliwą, jak przekonuje *Pan Lodowego Ogrodu*, wydany przez "Fabrykę słów" pierwszy tom powieści Jarosława Grzędowicza. Jest ona dokładnie tym, czego należy się spodziewać po stereotypowym heroic fantasy - historią obdarzonego nadprzyrodzonymi umiejętnościami i wielką bronią faceta, który przemierza świat i od czasu do czasu kroi na kawałki jakiegoś potwora - ale także czymś więcej.

Vuko Drakkainen to typowy obywatel Unii Europejskiej przyszłości - urodzony w Chorwacji pół Polak, pół Fin. Jest członkiem załogi statku badającego pierwszą odkrytą w kosmosie humanoidalną rozumną

cywilizację i jedyną osobą, która ma szansę uratować kogokolwiek z ekipy wysłanej na planetę. W tym celu zostaje wyposażony w środki naśladujące miejscowe stroje i uzbrojenie (ale odpowiednio lżejsze) oraz w cudo zwane cyfralem, które nie tylko pozbawia go strachu i pozwala zawsze podejmować zimne, rozsądne decyzje, ale także umożliwia dokonywanie cudów podczas walki. Jego dodatkową bronią jest ostry język i kultura masowa, dzięki której może przemówić do swego przeciwnika *nie lekceważ potęgi Mocy, Luke*. Złośliwie można by powiedzieć, że od Geralta różni go jedynie zaawansowanie technologiczne i fakt, że wszczepienie cyfrala nie powoduje utraty płodności... I że można mieć tylko nadzieję, że *Pan Lodowego Ogrodu* nie okaże się długą i tracącą poziom z każdym tomem epepeją o misji ratunkowej w oszalałym i rozdartym wojną świecie.

A są przesłanki, że kimś w rodzaju Cirilli będzie następca Tygrysięgo Tronu, księżę z rodu Odwróconego Żurawia, pozbawiony dziedzictwa w wyniku przewrotu religijnego dokonanego przez kobietę, która mieni się wysłanniczką Podziemnej Bogini. Czy Vuko pokocha chłopaka jak syna? Zapewne tak, bo tego wymaga konwencja. Czy po spełnieniu misji osadzi go na tronie, czy też spełni wskazania dowództwa, aby pod żadnym pozorem nie ingerować w cywilizację i jej naturalny rozwój? To wie na razie tylko autor i być może wydawca.

Gdzie zatem jest to "coś więcej"? Tkwi ono w talencie autora do opisywania makabrycznych, niesamowitych wydarzeń, wywodzenia ich niespodziewanie z prostych, nie budzących podejrzeń sytuacji. Także w prościutkim zabiegu zmiany perspektywy narracyjnej - o ile przez większość powieści narracja prowadzona jest przez Vuko bądź przez Małego Księcia, o tyle wojownika z aktywowanym cyfralem obserwuje ktoś z zewnątrz, ktoś na tyle szybki, by dostrzec piękno i morderczą precyzję jego ruchów. To może sugerować, że nasz bohater, mimo zapewnień twórców wszczepionego mu biochipa, w walce zmienia się w maszynę. Ciekawe, czy autor postawi go w takiej sytuacji, gdy będzie musiał wybierać między którymś z pozytywnych, wyższych uczuć, a śmiertelną logiką reguł walki?

I tylko żal, że na rynku pojawiły się niemal jednocześnie dwie książki, które za wzór dla stworzonych u siebie piekieł biorą Sąd Ostateczny Hieronima Boscha. Tą drugą są *Miasta pod Skalą*



Marka S. Huberatha, pozycja o zdecydowanie innym charakterze, choć przecież też słusznie do fantastyki zaliczana. Książka krakowskiego fizyka i pisarza to jednak dzieło bardziej erudycyjne, zmuszające czytelnika do uważnej analizy czytanych słów. Grzędowicz nie ma takich ambicji, ale jak zwykle sprawnie porusza się po terenie literatury popularnej, tym razem gdzieś na styku między SF, fantasy i powieścią grozy. Muszę przyznać, że po pierwszym tomie Jego pierwszej powieści wyżej stawiam opowiadania Jego autorstwa, ale być może tom drugi sprawi, że zmienię zdanie.

Sławomir Spasiewicz



Neodemony

Kobieta na okładce *Księgi jesiennych demonów* wcale nie zwiastuje tego co dzieje się w środku książki. Patrząc na nią myślimy, że czeka na nas horror klasy C, w którym gęsto od krwi i nadmiernej brutalności. Na szczęście nie tym razem. Grzędowicz wzywa dla nas znane od dawna demony, ale ukazują się one pod zupełnie nowymi postaciami.

Na rodzimym podwórku narodził się oryginalny horror, który, choć wykorzystuje dobrze znane motywy i chwytaki literackie, to nie wywołuje uczucia znudzenia, lecz najprawdziwszy strach. Swego czasu na wschodzie, w Kraju Kwitnącej Wiśni, podobnej sztuki dokonał Hideo Nakata kręcąc *The Ring (Ringu; Krag)*. Tam wprowadził też nie zobaczyliśmy niczego nowego – po prostu stare i zakurzone sztuczki zostały odświeżone. Japończycy pokazali światu, że horror może jeszcze zaskakiwać i przerażać. Pozwolili mu „złapać drugi oddech”. W Polsce prekursorem zmian w literaturze z dreszczykiem stał się Jarosław Grzędowicz.

Księga jesiennych demonów to tom opowiadań wydany przez Fabrykę Słów w 2003 roku. Jak głosi notka o autorze jest to jego pierwszy zbiór utworów o tematyce grozy, co może dziwić, bo Grzędowicz jest obecny na polskiej scenie od 1982 (debiut: opowiadanie *Azyl dla starych pilotów*), a potem dużo publikował w antologiach i na stronach internetowych. Już pierwszy tekst w książce – *Klub absolutnej karty kredytowej*, był umieszczony w Internecie i nominowane do nagrody Elektrybałta, a po publikacji w *Wizjach Alternatywnych* z 2002 r. także do Sfinksa.

Dostajemy do ręki dojrzały i dopracowany pod każdym względem zestaw. Nie wiążące się z sobą na pierwszy rzut oka opowiadania (jedyna wspólna cecha – horror) okraszone są prologiem i zakończeniem, które spina je i łączy w jedno realium. Wymowa tego krótkiego przedsmaku i zakończenia jest jedna: dziwne rzeczy mogą dziać się wszędzie. W Kasindzie w Afryce, motelu Sargasso na Mazurach, puszczy Białowieskiej i w każdym innym zakątku świata.

Potrzebne to było Grzędowiczowi, aby w końcu rzec, że tak naprawdę to opowieść o bardzo spójnym świecie.

Już pierwszy tekst – *Klub absolutnej karty kredytowej* – nie pozwala na identyfikowanie go ze starą szkołą horrorów (gdzie tam King czy Masterton!), choćby ze względu na tytuł. Napisany jest lekko, co nie znaczy, że źle. Jest inteligentną kpina z cywilizacji, a nie kolejnym *Koszmarem z ulicy Wiązów*, o czym mogłaby świadczyć okładka. Pierwsza część to znakomite wprowadzenie do koszmaru, który za chwilę nastąpi. Widać, że całość jest doskonale przemyślana i poprowadzona. Każdy wątek uzupełnia opowiadanie, dodaje mu smaku, a gdy nadchodzi kulminacja, człowiek już nie może się zatrzymać i czyta dalej. Zupełnie nieznaną wcześniej formą udowadnia, że ze wszystkiego można wydobyc esencję strachu, trzeba tylko chcieć. I umieć.

Opowieść terapeuty podtrzymuje poziom i napięcie. Powoduje, że jak najszybciej chce dobrać się do końca, aby tylko zobaczyć, co za pomysł zaskoczy nas tym razem. Jednak najpierw dane nam jest rozkoszować się psychologiczną rozprawą o świecie i motywie jego zbawienia. Banalne? Kto przeczyta ten zobaczy, że tylko pozornie.

Dalej następuje niejako powrót do konwencji. Grzędowicz chyba chciał udowodnić, że potrafi pisać jak kanon każe, a i tak tekst będzie zupełnie niestereotypowy. I rzeczywiście. Motywy gore, które możemy dostrzec w utworze mogą rywalizować z opisami trupów i masakr z książek Stephena Kinga (choćby z *Smentarza dla zwierzaków*). Typowo polskie społeczeństwo wieźm i nietypowo wilczy człowiek dają jednak całkiem ciekawą mieszankę. Dużym plusem jest tu (zarówno w tym jak i w innych opowiadaniach) umieszczenie akcji na rodzimym gruncie. Autor zna doskonale zwyczaje tu panujące i potrafi wykrzesać z nich dużo smaczków. Jedynie Ziemiański przebija Grzędowicza pod względem sugestywności opisu polskich realiów. Jednak obaj mogą zdecydowanie uchodzić za prawdziwą awangardę w tej kwestii. Przemyślane i dojrzałe opowiadanie. Autor nie wpędził się w pułapkę rutyny i pokazał, że panuje nad językiem i nad tym co pisze.

Kolejny powrót do korzeni to *Piorun*. Tylko, że o tym fakcie świadczy jedynie koniec opowiadania. Cała reszta to novum, jakie rzadko uświadczyc można. Jarosław Grzędowicz to według mnie znakomity psycholog, który potrafi wnikać w umysł i



duszę swych postaci i wykreować je tak, ażeby w każdym szczególe przypominały ludzi. Z takimi właśnie prawdziwie ludzkimi bohaterami spotykamy się w *Księdze jesiennych demonów*.

Prawdziwe *opus magnum* to ostatnie opowiadanie pod tytułem *Czarne motyle*. W trakcie lektury wydaje się, że Grzędowicz jest psychologiem bawiącym się (udanie bardzo zresztą) w pisarstwo bowiem, nie tylko wnika bezproblemowo w świadomość postaci, ale także w myśli czytelnika. Dokładnie wie, za które linki pociągnąć, żeby otworzyła się taka a taka szufladka, w której znajduje strach. Prawdziwy majstersztyk napisany w ciekawej formule (pierwszo- i trzecioosobowej narracji). Grzędowicz mógłby pisać wszystko. Świetnie konstruuje fabuły (choć te czasami opiera na prostych pomysłach) i kapitalnie buduje postaci. Genialne.

Inaczej patrzę na horror po przeczytaniu książki Grzędowicza. Zrozumiałem, że nawet demony mają osobowość. I wydaje mi się, że nie tylko na kartkach papieru...

Emil Strzeszewski



Nieortodoksyjna fantastyka

Szkoło pachnie na waniliowych plantacjach Wrocławia wśród lodu z legendy o ludziach pijących wódkę w 1999 roku i rozmawiających o konstruowaniu bomby przez nieistniejącego człowieka o nazwisku Heisenberg. Bujda? Ależ skąd. To po prostu proza Andrzeja Ziemiańskiego!

Problem z Ziemiańskim jest taki, że nie można nie wierzyć jego prozie. Jest często nieprawdopodobna, a na dodatek nikt chyba nie chciałby weryfikować prawdziwości wydarzeń opisanych w zbiorze *Zapach Szkła*, mimo to autorowi wierzy się bez mrugnięcia okiem. Historie działają na wyobraźnię i opowiedziane są w sposób taki, że długo będą aktualne. Ten tom wydany w 2004 roku może dać Ziemiańskiemu nieśmiertelność. Radzę zapamiętać tę liczbę!

Od czasów *Daimonionu* i *Wojen Urojonych* styl pisania autora uległ radykalnym zmianom i to na lepsze. Oplacało się zamilknąć pisarzowi na ponad dekadę, aby powrócić w wielkim stylu opowiadaniem *Bomba Heisenberga* (które skądinąd znalazło się w tym zbiorze). Potem było równie dobrze - opublikowanie *Autobahn nach Poznań* i *Waniliowych plantacji Wrocławia* przysporzyło Ziemiańskiemu nowych czytelników, którzy z utęsknieniem i nadzieją wypatrywali dalszych jego prac. Sam pamiętam jak zacierałem ręce czekając na *Achaję*, która jednak okazała się nie tak dobra jak opowiadania. Przekonałem się, że Ziemiański jest mistrzem krótkiej formy, ale w powieściach prymatu tak czy siak na razie nie zdobędzie.

Nominacje do nagrody im. Janusza Zajdla i wielka popularność nieortodoksyjnej prozy pisarza zaowocowała wydaniem przez Fabrykę Słów książki, w której zostały zawarte wszystkie dokonania literackie pisarza ostatnich lat. Swoista pigułka extasy dla fantastów.

Tytułowe opowiadanie stanowi bardzo mocne otwarcie. Polskie realia - rodzime nazwiska, miasta, klimat - i bardzo nietypowa fantastyka. Dzięki barwnej i swobodnej narracji czyta się je lekko i zyskuje się chęć do pochłonięcia następných stron w tempie błyskawicznym. Nawet ci lubiący delektować się tekstem wpadają w syndrom *jeszcze-jedna-strona-byle-szybko*. O dziwo, nic na tym nie tracą. No, jedynie to, że opowiadanie za szybko się kończy... Pomieszenie rzeczywistości ze światem nadnaturalnym (Pyskówka) oraz dziwnymi zjawiskami ze świata neotechnologii (efekty) wyszło autorowi na dobre. Swobodnie łączy konwencje i uszlachetnia opowieść lekkością stylu oraz wciągającą fabułą.

Potem zaskakująca *Bomba Heisenberga*, czyli opowiadanie, które może stać się biblią dla wszystkich tych, którzy chcą czytać fantastykę. Kapitalny pomysł z przeskakiwaniem w odmienną rzeczywistość fascynuje i nie pozwala się nie zachwycać. Nie znalazłem tam żadnych usterek ani w stylu, ani w dialogach, ani tym bardziej w opowiedzianej historii. Gdyby nie fakt, że fabuła jest fikcją literacką, uwierzyłbym Ziemiańskiemu bez mrugnięcia okiem.

Kolejnym majstersztykiem jest następne opowiadanie, czyli *Legenda - pijąc wódkę we Wrocławiu w 1999*. Dla mnie osobiście jest to najważniejszy tekst w całym zbiorze, zresztą wiąże mnie z nim mały sentyment - był to pierwszy tekst Ziemiańskiego jaki przeczytałem - więc obojętny pozostać nie mogę. Jednak nawet dla tych, którzy takowego nie odczuwają, będzie to prawdziwa uczta dla oka i ducha. Jest tylko jeden mankament - zupełnie dziwne i odbiegające od całej reszty zakończenie, które pozostawia niedosyt. Przesłanie można zrozumieć dopiero po przeczytaniu dedykacji. Po raz kolejny jesteśmy świadkami mieszania rzeczywistości, tym razem sen miesza się z jawą. Motywy oniryczne są arcyciekawe. Podróże po świecie snów dzięki maszynie, która winna jest śmierci co najmniej kilku osób, to bardzo mocny aspekt tekstu. Przy tym barwność świata przedstawionego jest ogromna. Widać, że Wrocław u Ziemiańskiego żyje i to jak! Czytając to opowiadanie, jak i inne, wydaje się, że miasto tętni pełnią życia i nie ma tam czasu nawet na chwilę wegetacji. Ludzie są prawdziwi, ludzie, czy raczej bohaterowie literaccy - zaciera się różnica. Mamy do czynienia z Wrocławem, który oddycha, a jego mieszkańcy razem z nim. Podczas lektury złapałem się na tym, że przytakiwałem Ziemiańskiemu. Gdy mówił, że jest tak,



tak lub tak, pokornie zdawałem się na jego autorytet w tej kwestii. Poza tym swobodne wrzucanie pobocznych wątków, anegdot (o powstaniu ksywki Porucznika Gusiewa, który to, według studentów, ma być odpowiedzialny za utrzymanie siłą pewnego słusznego ustroju) i dygresji stanowią wyróżnik stylu pisarza. A ten od czasów jego powrotu do przygody z prozą wznosił się na wyżyny.

Brnąc dalej natykamy się na *Waniliowe plantacje Wrocławia*. Kolejny opowiadanie-sztandar polskiej fantastyki. Mało oryginalny pomysł na fabułę, ale podany w takim sosie jest nie tylko strawny, ale nawet przepyszny. Czyta się jednym tchem i jeszcze długo po zaprzestaniu lektury nie można dojść do siebie. Dziwię się, że nie przyznano za to opowiadanie Zajdla. Jak najbardziej się należał.

Potem nie jest już tak dobrze. Dwa następne teksty są już tylko solidną lekturą i niczym więcej. To bardzo dobrze napisane opowiadania, ale zdecydowanie najsłabsze ze zbioru. Może lepiej by było, aby autor skupił się polskich realiach, niż zatapiał się w lody wymyślonej krainy, w której powiewa śniegiem i nudą. Podczas lektury tych dwóch tekstów można już przynajmniej odдыchać...

Koniec wieńczy dzieło - *Autobahn nach Poznań*. Kolejna nominacja do Zajdla, kolejne pochwały, sława, kobiety i śpiew. Po przebrnięciu przez *Lodową opowieść* i jest to odpowiednio dobra dawka literatury, ale nie tak znakomita jak mieliśmy do czynienia na początku książki. Zbyt dużo wtrąceń przypominających jakąś dziwną nowomowę nie pozwala rozkoszować się kunsztem Ziemiańskiego i często przez nie właśnie, tekst jest niezrozumiały. Opowiadanie jednak niewątpliwie wyróżnia się na tle dokonań pisarza.

Twórca swobodnie manipuluje tekstem i zarazem czytelnikiem, aby ten nie nudził się podczas lektury i smakował to, co zostało w zbioru zawarte. Frapujące fabuły przesiąknięte humorem i realnością (wydaje się, że mogłyby zdarzyć się naprawdę) oraz naprawdę ogromną dawką kunsztu pisarskiego, to dla czytelnika prawdziwa uczta. Poza tym nie jest to ani science-fiction, ani fantasy, lecz ich swobodna kompilacja bez kompleksów. Nazwałbym to alternatywą, ale i pod ten gatunek proza Ziemiańskiego nie podpada. Aczkolwiek widać, że lubi i potrafi się on bawić rzeczywistością.

Kapitałnie prowadzone postacie, z duszą, marzeniami i całą masą wad wydają się jakby wycięte z jakiegoś zakątka Wrocławia lub innych części Polski. Nawet w *Lodowej opowieści* (która nie przedstawienia alternatywnej rzeczywistości, a jest zupełnie innym światem wymyślonym na potrzeby tekstu) akcent polski jest aż nadto wyraźny.

Nie da się jednoznacznie sklasyfikować utworów Ziemiańskiego. Nigdy nie wiadomo tak naprawdę do której szufladki go włożyć, bo w każdym z tekstów znajdujemy różne style i gatunki. Jedynie szufladka pod nazwą *nieortodoksyjna fantastyka* pasowałaby tutaj. Tylko, że to zbrodnia wrzucać te teksty i tego pisarza do jakiegokolwiek szufladki. Ja bym raczej umieścił je na górnej półce.

Emil Strzeszewski



Kroniki PRL-u

Recenzje *Nie było smutniejszej historii na świecie* Georgija Szacha i *Goniący za słońcem* Julii Nideckiej

Dla wielu czytelników okres sprzed 1989 roku, kiedy to nasz kraj nazywał się PRL, wydaje się zamierzchną przeszłością. Wiele złego można powiedzieć o tamtych czasach, a jednak z jednego powodu wspominam lata mojego dzieciństwa z lekką nostalgią. Już śpieszę z wyjaśnieniem dla tych którzy chcieliby mnie od ręki zlinczować. Nikt pamiętający tamte czasy nie zaprzeczy, że książki były wówczas bardzo tanie i dostępne nawet dla kieszeni dziecka z podstawówki. Poza tym biblioteki, kiedyś bardzo popularne, ugiwały się pod ciężarem niezliczonej ilości literatury. Nawet świeżo wydanych pozycji. Oczywiście troszkę dyskryminowani byli autorzy spoza tzw. Bloku Wschodniego, ale za to polscy autorzy, nawet mało znani, jeśli mieli dobry warsztat i pisali politycznie poprawnie mieli szansę zaistnieć na rodzimym rynku, a przy wyższych umiejętnościach - także w "bratnich" krajach. Dziś młody pisarz musi być wręcz wybitny, by przebić się przez mur, dbających prawie wyłącznie o zyski, wydawców. Na szczęście dziś mamy internet i na licznych stronach niekiedy możemy trafić na prawdziwe perełki całkiem nieznanymi autorów. Promocji takich ludzi służyć ma także i niniejsze wydawnictwo.

W tym dziale jednak zamierzam Wam przybliżyć książki z minionej epoki. Zapomnianych, bądź w ogóle nie znanych dziś autorów, po których książki z pewnością warto sięgać. Znajdziecie je w swoich bibliotekach, w antykwiariatach (za stosunkowo śmieszne pieniądze), internecie, a być może leżą porzucone gdzieś na dnie Waszej szafy.

Jako, że trwają wakacje, na pierwsze spotkanie z literaturą wydawaną w PRL wybrałem dwie pozycje, które z powodzeniem możecie zabrać na plażę.

Pierwsza z nich to romantyczna powieść Rosjanina Georgija Szacha pt. *Nie było smutniejszej historii na świecie*. Motyw Romea i Julii wykorzystywano już na wiele sposobów, Szach przeniósł go na zagubioną gdzieś we Wszechświecie planetę Hermes. Odcięte od reszty cywilizacji społeczeństwo podażyło własną ścieżką postępu. Stworzono kasty, które szkoliły się tylko w jednej z dziewięciu najważniejszych dla Hermesjan dziedzinach nauk, pozostałą wiedzę przyjmując w minimalnie niezbędnej ilości.

Jako, że dzieci dziedziczyły po rodzicach swoją przynależność, w przeciągu kilku stuleci specjalizacja posunęła się do tego stopnia, że każda z kast zaczęła posługiwać się zrozumiałym tylko dla siebie językiem.

Kiedyś wydawało mi się to troszkę przesadzone, ale pewnego dnia, jadąc autobusem, przysłuchiwałem się głośnemu dialogowi dwóch administratorów sieci. Byłem dumny, że jako jeden z nielicznych pasażerów w ogóle zdawałem sobie sprawę o czym dyskutowali. Szach pozwala sobie czasami na wyłączenie "atów" - tłumaczy wszczepionych każdemu mieszkańcowi Hermesa i wówczas możemy posłuchać dialogów prowadzonych w językach klanowych. Dla przykładu przedstawiam wypowiedź chema (chemika) skierowaną do swojej partnerki: *Dysocjacja elektrolityczna nie ma tu nic do rzeczy. Niezbędna jest analiza luminescencyjna i żaroodporne polimery zostaną zaabsorbowane. W końcu nie jestem izotopem o niskim ciężarze atomowym. Bądź wreszcie ekwiwalentna. Niekompleksowe związki są izometryczne*. Konia z rzędem temu, kto wyjaśni mi o czym mówił?... Nieco bardziej zrozumiałe wydają się wyznania miłosne. W języku matów: $a^2+2ab+b^2=(a+b)^2$, a agrów: *gałązka bzu, rój pszczół, żdźbła traw*. Na koniec jeszcze tylko dwie obelgi w języku matów: *ach, ty dysfunkcyjna*, czy *piersiastek z zera*.

Wróćmy jednak do treści. Jak już wspomniałem dzieci agrów były agrami. Łatwo więc zauważyć, że nie stosowano na Hermesie międzyklanowych związków. Generalnie nie były zabronione, ale tradycja nakazywała szukanie partnera wśród swoich. Na nieszczęście dla młodego agra Roma, poznał on matę Ulę (mało subtelnie zasygnalizowana analogia, z której autor w końcu postanowił się troszkę wytłumaczyć). Ula była śliczna i inteligentna, a Rom jak na rolnika przystało, był zdrowym chłopcem, któremu niczego nie brakowało, a



do tego całkiem niezłym sportowcem. I jak u Shakespeara miłość rozkwitła budząc początkowo sprzeciw najbliższych, a wkrótce całego Hermesa. Swoim uczuciem wprowadzili ogromny zamęt, ukazując wszelkie wypaczenia bardzo szowinistycznego, jak się okazało, społeczeństwa. Początkowo powolna akcja, z każdą następną stroną nabiera coraz większego rozpędu, co sprawia, że nie sposób się od książki oderwać.

Oczywiście nie zdradzę, czy, jak wzorem pierwowzorów Rom i Ula zostali przez autora skazani na śmierć, ale pewne jest, że poza pierwszymi stronami nie mieli łatwego życia, a Szach odwalił kawał dobrej roboty mieszając fantastykę, socjologię, romans i przygodę. Jak na obywatela Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich nie mógł jednak nie zamieścić kilku pochwalnych zdań dla ustroju w jakim przyszło mu pisać ową powieść. Być może była to cena jaką zapłacił za możliwość opublikowania utworu, ale takie to były czasy...

Jedynym minusem, który z pewnością każdego z czytelników będzie drażnił, to zbyt przejaskrawione postacie, które są albo dobre, albo złe. Choć być może autor chce dać do zrozumienia, że w kluczowych momentach życia należy konkretnie określić swoje stanowisko i nie można pozostawać "szarym". Jeśli nawet, to troszkę przesadził.

Niemniej jednak dla tych, którzy nie lubią męczyć się ciężką lekturą opalając się w gorących promieniach słońca, *Nie było smutniejszej historii na świecie* będzie idealną pozycją. A kto wie, być może wpadając w romantyczny nastrój, znajdziecie swoją wielką miłość?...

Druga z proponowanych przeze mnie książek to zbiór opowiadań Julii Nideckiej *Goniący za słońcem*. Tytuł temu sugeruje lekką, słoneczną podróż po różnych zakątkach wszechświata. Nic bardziej mylącego. Nidecka przedstawia dziesięć znakomicie opowiedzianych historii, po których czasem uśmiechniemy się, ale częściej zostaniemy zmuszeni do głębszych przemyśleń.

Po skończonej lekturze w pamięci najdłużej zostały mi trzy teksty. Druga w kolejności *Megalomania* to utwór, którym Nidecka debiutowała w *Młodym Techniku*. Opowiadanie ponoć napisała dla żartu i rzeczywiście to jedyny tak lekki tekst. Akcja

toczy się, jak możemy się domyślać w odległej przyszłości. Powoli otrzymujemy kolejne fakty umożliwiające rozwiązanie intrygującej zagadki, kim są bohaterowie? Przyjemna zabawa, choć przyznam się, że nie trafilem. Całość opatrzona udanym suspensem, który, jak widać w pozostałych utworach, autorka opanovała do perfekcji.

Wilki na wyspie, czwarte w kolejności i najdłuższe z dziesiątki, świadczą dobitnie, że Nideckiej nie obca jest socjologia. Być może autorka wzięła sobie do serca słowa Janusza Zajdla, który twierdził, iż każdy humanista powinien poznać choć trochę nauki ścisłe i została inżynierem chemii. *Wilki...* to zdecydowanie najlepsze opowiadanie zbioru. Znów przenosimy się do przyszłości, może już nie tak odległej, ale wystarczająco dziwnej, by człowiek atletycznie zbudowany uchodził za mutantą, a przejawy nadmiernej inteligencji oznaczały degradację społeczną. Autorce udaje się wciągnąć czytelnika bez reszty w mroczną i przygnębiającą atmosferę utworu. Doskonale przemyślany tekst, napisany z polotem, po którym musiałem wziąć głęboki oddech, chyląc czoła przed znakomitymi umiejętnościami Julii Nideckiej.

Szоста *Biotechnika* to dla mnie jeden z najważniejszych utworów, jakie przeczytałem w życiu.

Naukowcy wynajdują, a później przypadkowo wypuszczają na świat syntetyczne białka, które okazują się śmiertelnie groźne dla człowieka. Autorka zastosowała niezwykle sposób narracji. Całe opowiadanie to zestawienie wycinków z gazet, z których krok po kroku dowiadujemy się, jak "podjadki" zbierają coraz większe żniwo wśród ludzkości, aż do tragicznego finału. Apokaliptyczna wizja końca świata, która potrafi głęboko zakorzenić się w umyśle. Pierwszy raz czytałem "Biotechnikę", gdy groźba epidemii AIDS stała się niebezpiecznie realna, a śmierć zabrała już pierwsze tysiące ludzi. Opowiadanie przeraziło mnie do tego stopnia, że do dziś każda informacja o "ptasiej grypie", czy SARS wywołuje u mnie "gęsią skórę" i przywołuje na myśl błyskotliwie napisane i genialnie warsztatowo opowiadanie Nideckiej.

Miłośnikom wspomnianego już Janusza Zajdla, nie ujdzie zapewne uwadze jeszcze *Solidarność*. Stylem i klimatem bardzo przypomina utwory mistrza. Najwyraźniej choć w ten sposób Nidecka chciała wyrazić swoją niechęć do panującego socjalizmu. Było to troszkę ryzykowne przedsięwzięcie, które mimo wyraźnych aluzji uszło



jakoś uwadze cenzorów. Na szczęście, gdyż *Goniący za słońcem* jest jedyną wydaną pozycją autorki, która ponoć skończyła już niestety z pisaniem...

Świetne pomysły, znakomicie zrealizowane, przy udziale różnorodnych, środków wyrazu. Jeśli ktoś chce spróbować swych sił w pisarstwie - książkę zalecam, jako lekturę obowiązkową. Jest od kogo się uczyć, a przy okazji można znakomicie spędzić czas, którego w okresie letnim nie powinno brakować.

Mam nadzieję, że obie książki będą dostępne w Waszych bibliotekach i znajdą miejsce wśród wakacyjnego bagażu i pozwolą się Wam odprężyć po trudach letniego odpoczynku.

Dariusz A. Jasiński



Fenomen kaset wideo

Gdy po raz pierwszy spostrzegłem czarny plakat z głową malca znajdującą się w pierścieniu czegoś na wzór cierni, byłem poruszony. Kapitałny przypis - *Nie oglądałeś? Zostało ci jeszcze siedem dni* robił piorunujące wrażenie. Ciekawił i przerażał jednocześnie. Musiałem obejrzeć ten film. Po prostu musiałem. Tak wpadłem prosto do głębokiej studni japońskiego horroru...

Hollywoodzkie produkcje z dreszczykiem nie zachwycają mnie. Są sztampowe i przewidywalne. Nie przemawiają do mojego, bądź co bądź, wybrednego gustu. Naszpikowane efektami specjalnymi prezentują przerost formy nad treścią. Oczywiście grzechem byłoby powiedzieć, że wszystkie, ale zdecydowana większość. Prawdą natomiast jest to, że amerykański horror przeżywa regres. Sztuka ta cofnęła się o całe lata do epoki kamienia łupanego, czy też betonowej taśmy filmowej. Co innego na Dalekim Wschodzie...

Rok 1998 przyniósł nową erę horroru. Japońskie odrodzenie w postaci pierwszego *Ringu* (w polsce *Krąg*, w USA *The Ring*) było niespodziewane i tym bardziej rokowało nadzieję. Horror emocjonalny, bazujący na poruszaniu w człowieku nie prymitywnych instynktów, ale odwołujący się do emocji i naprawdę ukrytych lęków przede wszystkim. Kpina z technologii i pseudopostępu okraszona mistyką i spirytualizmem okazała się bardzo wysmakowana. Żeby zrozumieć japoński *The Ring* trzeba było się natrudzić. I to sporo.

You will die in seven days...

Co widzicie, gdy spojrzycie na telewizor, kasetę wideo i lustro? Ja widzę pierwszy japoński *The Ring*. Czemu? Bo film tak zadziałał na moją podświadomość, jak nic innego do tej pory. Nastolatki w Japonii giną od piekielnej kasety wideo. Taśma pojawiająca się nie wiadomo skąd, na niej pozornie niezwiązane ze sobą sceny, które już swoją groteskowością i tajemniczością przyprawiają o

dreszcz (wulkan, kobieta czesząca się w lustrze, które w niewiadomy sposób przeskakuje na drugą stronę ściany i widać w nim małą dziewczynkę z twarzą przykrytą czarnymi, długimi włosami), a potem telefon powiadamiający o przykrym prorocztwie - Umrzesz za siedem dni... Czyż nie banalny pomysł? Ale za to jaki genialny w swojej banalności!

Film w reżyserii Hideo Nakaty nie dłuży się ani minuty. Każda scena ma swoje znaczenie i urok. Z obrazu przesiąka atmosferą tajemniczości i pośpiechu. Siedem dni to mało, żeby rozwiązać zagadkę i pozbyć się kłątwy. Każda sekunda ma tu kolosalne znaczenie. Zostało to pokazane w *The Ring* arcymistrzowsko. Dziennikarka Reiko Asakawa, dotknięta kłątwą wideo, musi odnaleźć remedium, które pozwoli jej żyć. Zatrudnia do tego swojego byłego męża, który posiada paranormalne umiejętności... Okazuje się, że kasety nie da się zniszczyć. Sytuacja komplikuje się w chwili, gdy potomek Reiko - Yoichi - ogląda film na niej zawarty... Tajemnica czarnowłosej dziewczynki z zakrytą twarzą jest pokrętna i upiorna... Pierwszy *The Ring* nie straszył potworami niewiadomego pochodzenia. To inteligentny horror bazujący na psychice odbiorcy. Mózg pozostaje włączony od pierwszej do ostatniej minuty i na tym się nie kończy. Po obejrzeniu filmu obraz Sadako straszy dalej. Tym razem już w wyobraźni.

Oryginalne i śmiało wykorzystanie starych pomysłów w nowym sosie i w nowatorski sposób opłaciło się. Film był najbardziej kasowym przedsięwzięciem japońskiego kina na tamte czasy. Przerósł go dopiero sequel, ale o tym dalej. Twórcy dokładnie wczuli się w psychice oglądającego, który bardziej boi się nieznanego i ukrytego w mroku, niż widocznego, materialnego przeciwnika. Mnóstwo niewyjaśnionych zagadek i niedopowiedzeń - to atut obrazu Nakaty. Widz wychodzi z kina głodny dalszych wrażeń.

Wszystko przemawia na korzyść tegoż horroru - nawet muzyka, czy też jej brak. Przerazające, krótkie, ostre dźwięki pojawiają się tylko w kulminacyjnych momentach i powodują przestraszenie. Potęgują, i tak wielką, atmosferę grozy. *Krąg* bez linii dźwiękowej nie byłby tym samym filmem.

Absolutnie zaskakujący morał zadziwia. Aż chciałoby się rzec - wierzcie w łańcuszki "szczęścia". W łańcuszki "przekleństwa" też...



Tydzień okazał się za krótki...

Dziewczynka żyła w studni 30 lat bez jedzenia, picia i światła. Dziewczynka umarła niedawno i wyciągnięto jej ciało. I horror zaczął się na nowo...

Ringu 2 (czyli *Krąg 2* oraz *The Ring 2*) to oficjalny, japoński sequel jedyńki, w reżyserii Hideo Nakaty. Kontynuacja przerażającej historii w równie przerażającym i wyśmienitym stylu, co wcześniej. Pierwowzór oceniam na 100% (pełnowartościowe dzieło), zaś dwójkę na 110%. Geniusz reżysera i historii z pierwszego filmu okazał się tu kluczowy. W wielkim stylu nakręcono w rok później (czyli w 1999 r.) następną historię, która dorównuje poprzedniczce. Jak się okazuje, tydzień, to za mało...

Fabula zawiązuje się w momencie wygrzebania ze studni Sadako, która przeżyła tam 30 lat (!). Motyw opiera się na powstawaniu upiornej kasety wideo. Asystentka byłego męża Reiko Asakawy, Ryuji'ego stara się rozwiązać zagadkę śmierci nauczyciela. Trafia na trop jego żony i syna, którego dręczą koszmary przeszłości. Sadako, przywoływana przez Yoichi'ego swoim gniewem, niejako zmartwychwstaje, a wraz z nią legenda z samego dna studni...

Film zrealizowany jest z autentyczną pasją. Jest to horror, jakich mało. Znakomicie dopełnia legendę z pierwszej części i zaskakuje pomysłami. Znakomita scena retrospektywna w hotelu, gdzie mieszkała Sadako i jej matka, po prostu wbija w fotel i powoduje szczękościsk oraz wytrzeszcz oczu. To już nie jest strach, to przerażenie... Wydaje się, że za chwilę mroczna dziewczynka wyjdzie z telewizora, żeby spojrzeć w oczy widza.

Obie części to filmy, które boję się oglądać, ale zawsze do nich wracam. Paradoks? Po prostu uwielbiam się bać. Uwielbiam się bać w takiej formie, jaką oferują oba *Ring'i*. Dlatego za każdym razem stracham się tak samo, jak przy pierwszym oglądaniu. Nie ważne, czy jestem w pokoju sam, czy jest ktoś obok mnie. Obraz przeraźliwej studni i dziewczynki goni mnie tak samo jak Mai Takano, bohaterki drugiej części. To prawdziwa uczta dla kinomana. Po raz kolejny wykorzystano znakomity pomysł i zrealizowano go tak, by nie zmarnować tego potencjału. To olbrzymi plus.

Filmu nie zepsuły nawet technologiczne próby wytłumaczenia powstawania upiornej kasety i wyjaśnienie psychologiczne kłątwy. Powiem więcej - to kolejny plus. To znak, że seria ewoluuje i sięga coraz dalszych terenów, do tego z powodzeniem. Jak się okazuje, można kpić z pseudopostępu, a zarazem wykorzystywać go tak, żeby służył czemuś naprawdę.

Kontynuacja dwukrotnie przebiła kasowo jedynekę. Coraz więcej ludzi chce się bać. Dlatego też nastąpił...

Na przełomie tysiącleci powstał prequel pierwszego *Ringu* o nazwie *Ringu 0 Baasudei* (w Polsce *Krąg 0 Narodziny*, w amerykańskiej wersji *The Ring 0 Birthday*). Tym razem reżyserii odmówił Hideo Nakata i do dzieła zabrał się Tsuruta Norio. Jest to raczej bardzo mocny i dobrze zrobiony thriller, niż horror, ale przedstawia równie niesamowitą historię, jak pierwsze (chronologicznie ze względu na rok produkcji) części. Film przenosi nas do czasów młodości dziewczynki z czarnymi włosami...

W jednym z teatrów w Tokio odbywa się casting. Odtwórczyni głównej roli w przedstawieniu umiera w tajemniczych okolicznościach i na jej miejsce pojawia się osiemnastoletnia Sadako. Doprowadza to do tragicznych wydarzeń. Zamknięta w sobie i niewinna dziewczynka, która boi się własnej mocy, i jej "zła siostra bliźniaczka" z twarzą zakrytą czarnymi włosami, nawiedzająca teatr...

Kapitalna gra aktorska odtwórczyni roli Sadako - Nakamy Yukie - dodaje smaczku. Japończycy udowodnili, że posiadają talenty, które trzeba światu pokazywać.

Prequel nie okazał się jednak takim hitem, jak wcześniejsze części. Uzupełnienie dużo wyjaśnia, jeszcze więcej zaskania. Nie wiadomo, co jest prawdą, a co fałszem. Tajemniczość to cecha całego cyklu.

Pokrętność spirali...

W roku wydania pierwszego *Ringu* powstał jego nieoficjalny sequel. Jest to alternatywna kontynuacja, która z *Ring 2* ma niewiele wspólnego. Inny reżyser, inna historia, inna jakość. *The Spiral* (w orginale *Rasen*, po polsku po prostu *Spirala*) to film prezentujący sobą, owszem, tajemniczość, ale raczej wynikającą z faktu, że niewiele kto go rozumie...



Sekcja zwłok Ryuji'ego Takayamy ujawnia dziwną wysypkę w jego szyi. Anduo Mitsuo - jego przyjaciel - odkrywa na dodatek dziwną karteczkę w żołądku nieboszczyka. Śmierć czterech nastolatków z wysypką w szyi doprowadza bohatera do wniosku, że to wirus ospy jest przyczyną śmierci. Tylko, że we wraku samochodu, gdzie zginęli Reiko Asakawa i jej syn Yoichi, znalazła się dziwna kasetka... A na dodatek pojawia się jeszcze dziwniejszy reporter, który rozprawia o kłątwe wideo i jej wpływie na śmierć ludzi...

Tutaj jest wszystko w porządku, ale motyw poczęcia Sadako i zarażenia się wirusem ospy przez wzrok (optycznie) to już inna kwestia. Zupełnie niezrozumiałe narodziny Sadako i aspekt wyleczenia się z wirusa po skopiowaniu kasety należy do gatunku zjawisk "dziwnych", czy też "dziwacznych". A może raczej "głupich"? W każdym razie tajemniczość jest...

Wirus koreański

W rok po niesławnej *Spirali* koreańczycy popełnili remake pierwszego *Kręgu* i zatytuowali go *Ring Virus* (w Korei film był rozprawiany pod tytułem *Ring*), czyli *Wirus Kręgu*. trzeba przyznać, że choć nie jest to arcydzieło, to jest to zdecydowany powrót do odrodzeniowych tradycji horrorów z Kraju Kwitnącej Wiśni. Solidna robota Kim Dong-Bin'a, który na dodatek napisał scenariusz, naprawdę nadaje się do oglądania.

Film jest mimo wszystko podobny do pierwowzoru z 1998 roku, jednak wyciury został z atmosfery horroru. Głównej roli nie gra tu strach, ale sama zagadka. Tajemniczość to pierwszoplanowy aktor w tym koreańskim przedstawieniu. Pokazany został aspekt człowieka i jego roli w koszmarze. To dobra szkoła tworzenia filmów, Amerykanie mogliby się dużo od tego nauczyć.

Wadą filmu jest jego oczojebna (mówiąc bardzo kolokwialnie) jaskrawość i jednolitość lokacji. Eun-Suh nie jest taka, jak Sadako. To tak, jakby manekin udawał człowieka. Na miano horroru *Ring Virus* nie zasługuje, ale jednak jest godny polecenia. Ringomaniacy będą zachwyceni odmiennym spojrzeniem na całą sprawę, a i niezwiązany emocjonalnie z serią widz może z tego obrazu coś dla siebie wyciągnąć.

Japonia po amerykańsku

Hollywood musiało wyciągnąć łapki po tak chwytliwe dzieło, jakim był japoński pierwowzór. Wszak nic tak nie działa na Amerykanów, jak amerykański film. Choćby był najgorszy i głupi, to jednak wszyscy na niego pójdą, bo jest z fabryki snów. Na szczęście *The Ring USA* na miano najgorszego, a tym bardziej głupiego nie zasługuje. Co prawda, nie dorównuje serii z Dalekiego Wschodu, ale jest całkiem niezłym przeniesieniem na tamtejsze (także nasze) podwórko. Trochę szkoda, że brak w nim egzotyki, jaką zapewniała Japonia, ale to ostatecznie daje się znieść. Film nie kopiuje japońskiej wersji, tylko inteligentnie ją przetwarza. To nie jest zdecydowanie klasyczny remake. Pomysł nie został zmarnowany.

Historia przedstawiona w filmie z USA różni się tylko paroma szczegółami od pierwszego *Ringu*. Po pierwsze - inna wersja przekłętej kasety - to mimo wszystko się dostrzega. Po drugie i najważniejsze - nie ma Sadako. Jest zupełnie inna bohaterka, która jest jedynie wzorowana na niej - Samara. Samarę poznajemy bliżej. Doświadczamy jej koszmaru. Więziona przez ojca na strychu z telewizorem, cierpiąca na bezsenność, a na dodatek możliwe, że jej pojawienie się na świecie spowodowało pomór koni. To głęboka postać, skrywająca mroczną tajemnicę. Rozwijając ten aspekt, Gore Verbinski (reżyser) przyczynił się do nadania swojemu filmowi wykwintności. Dodał bardzo ważną rzecz - głębię. Samara jest bardzo mroczną postacią.

W ogóle amerykański film bardziej stawia na rozwinięcie przeszłości postaci - w przeciwieństwie do japońskiego *Ringu*, który na piedestale stawiał samą historię. Tajemniczość Samary, jej matki - hodowcy koni, aspekt potomka Rachel (amerykańskiej Reiko) i jego ojca, który szuka życiowych wrażeń w ramionach kochanki. To postacie z burzliwą przeszłością, z duszą. Nie są manekinami, ani przewodnikami po legendzie o kłątwe wideo. To POSTACIE z krwi i kości. To wielki plus filmu.

Jednak o ile same postacie są ciekawe, o tyle odgrywanie ich przez aktorów niekoniecznie. Sztuczność dziecka Rachel i jej męża biją po oczach niczym jaskrawość *Ring Virus*. Zostało to nadrobione poprzez rolę bohaterów w całej historii. To oni ją tworzą, a nie ona ich.



Godny polecenia remake. Pozostawia trochę niedosytu po genialności wersji japońskiej, ale, mimo to, jest filmem dobrym.

Przeklęta kasetka uderza ponownie

Oj uderza, tylko, że tym razem jeleniami - dosłownie...

Hideo Nakata w Roku Pańskim 2005 postanowił zabrać się za amerykańską ekranizację drugiej części *Ringu*. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, bowiem film jest przeciętny, a sam reżyser stracił dużo w moich oczach. Wcześniej pokornie pochylałem głowę przed jego geniuszem, a teraz pokutuję, żeby ów geniusz mu powrócił. Ale co się stało, to się nie odstanie. Mamy *The Ring two* (po polsku *Krąg 2* znowu). Mamy. I co z tego? Motyw opętania Aidana (syna Rachel) to stary chwyt filmowy. Jednak spodziewałem się, że, wzorem wcześniejszych dokonań, Nakata pokaże stare danie w nowym, pysznym sosie. Zawiodłem się. Nie tylko na tym zresztą. Film pełen jest bezmyślności. Nie wiem, czy to wina reżysera, czy producenci postawili na kasę (wierzę skrycie, że to drugie...), ale takie buble, jak atak jeleni na samochód, który w domyśle miał przerażać i zadziwiać, robi to właśnie, tylko "inaczej". Przeraża infantylności całej sytuacji, a zadziwia... infantylności całej sytuacji. Groteska horroru...

Nic tu nie jest tak jak trzeba. O niczym nie lubię mówić dużo, więc już zaprzestanę...

Książki

Filmy nie były jednak pierwsze. Legendę *Ringu* stworzył japoński pisarz Koji Suzuki, począwszy od 1991 roku, a skończywszy na roku 1999. W tym czasie powstały cztery książki ilustrujące historię Sadako i przeklętej kasetki wideo.

Pierwszą z nich był tytułowy *Ring*. To historia reportera Asakawy Kazuyuki'ego, który śledzi historię tajemniczych zgonów ludzi, począwszy od czwórki nastolatków, którzy umarli o tej samej godzinie. Obejrzeni oni wcześniej dziwną kasetkę wideo, która, w dziwny sposób wiąże się z ich śmiercią...

Głównym bohaterem jest mężczyzna, jako że podobno kobiety za główną bohaterkę Japończycy by nie przyjęli (taka mentalność). Ile w tym prawdy, nie wiem i nie śmiem oceniać. Jest to jednak największa różnica między filmem a książką.

Suzuki postawił w swojej książce na wyjaśnienia w miarę racjonalne. Wytłumaczył w sposób dość dziwaczny kim była Sadako. W filmie nie zostało to przedstawione i osobiście uważam, że to dobrze. Niektórymi tajemnica dziewczynki może wstrząsnąć i ciężko się z nią "pogodzić". Inni odbiorą to jak odebranie jej roli mistycznego demona. W każdym razie to kolejna różnica między filmem a książką. W obrazie Nakaty nie zaznamy tego co ze wszelkimi szczegółami opisał Suzuki.

Sceny kulminacyjnej (Sadako wychodząca ze studni) nie uświadczymy w lekturze. To autorska scena Nakaty, którą dodał sam. Suzuki wolał zostawić niedopowiedzenie...

Kolejną pozycją jest *The Spiral/Rasen*, która jest kontynuacją wątku z poprzedniej części. Andou Mitsuo przeprowadza sekcję zwłok na swoim przyjacielu - Takayama Ryuji'm - przy asyście zaufanego Miyashity. Znajdują w żołądku zaszyfrowaną wiadomość i powoli odkrywają fakty ze śledztwa Asakawy Kazuyuki'ego...

Książką wieńczącą cykl jest *Loop (Pętla)*. Tutaj autor spina wątki z poprzednich tomów i ukierunkowuje je na całkiem inny tor. Skłania się tutaj ku wersji, że tajemnicza klątwa to wirus, który może mieć coś wspólnego z amerykańskimi tajnymi operacjami... Widać tutaj jak legenda Kręgu ewoluowała i wkraczała na coraz to nowe obszary. Trzy książki - trzy różne perspektywy, a każda ciekawa i intrygująca. Mit z pierwszej części zostaje unaukowany w drugiej, by w trzeciej zacząć przechodzić w technologię. To absolutne novum w fantastyce. Chyba nikt dotychczas nie odważył się na takie operacje.

Uzupełnieniem całej sagi jest zbiór trzech opowiadań *The Birthday (Narodziny)*, w którym znalazło się miejsce dla narodzin, jako elementu łączącego wszystkie części składowe tomu. Zawarto tutaj brakujący rozdział ze *Spirali* nazwany (w tłumaczeniu na polski) *Trumna odpływająca do nieba*. Drugi tekst: *Lemonheart* to historia romansu młodej Sadako z Toyamą w Trupie Aktorskiej Hisho. Na tej podstawie oparty został *Ringu 0 Baasudei*. Ostatnie - *Happy Birthday* to uzupełnienie *Pętli (Loop)*.

Before see this film look at the mirror...

The Ring to jeden z najszlachetniejszych i najbardziej udanych cykli naszych czasów. To



renesans horroru, który zwodzi, wciąga i przeklina. To wysmakowane historie i arcymistrzowska realizacja. Koji Suzuki powinien być zadowolony z takiej ekranizacji jego prozy. Jeszcze, żeby dodać smaczku, wspomnę o tym, jak to duchy "czuwały" nad kręceniem tych obrazów.

Otóż pierwszy *Ringu* został nakręcony w domu, w którym młoda kobieta popełniła niegdyś samobójstwo. Jej twarz można zobaczyć na zdjęciach z planu - odbija się w oknie. Za to w *Ring Virus* znalazła się w kadrze ręka wystająca spod sukienki aktorki, której nie przewidział ani reżyser, ani nikt inny...

Czy w takim razie przypadkiem jest to, że postaci Sadako i jej matki są wzorowane na autentycznych osobach?

Emil Strzeszewski



Klucz Dziewięciu Bram

Mniejszy artefakt dla systemu Dungeons & Dragons 3rd. Edition PL

UWAGA: Do efektywnego użycia tego mniejszego artefaktu w grze potrzebna jest Księga Planów.

Historia: Było to dawno temu. Kallugyn Surefeet był niziołkiem - jednym z wielu złodziejasków buszujących po wiecznie zmieniających się ulicach Sigil. Gdyby nie zbieg okoliczności, być może zakończyłby swe życie tak, jak większość mu podobnych - rozszarpany przez wściekłego biesa bądź spalony na mialki popiół przez jednego z potężnych magów. Gdyby nie zbieg okoliczności...

Pewnego dnia Kallugyn, wracając z niezbyt udanego wypadu na miasto do miejsca w kanałach, które nazywał swoim domem, natknął się na dziwnego nieznanego. Człowiek ów, bo niewątpliwie był to człowiek, leżał, zagrzebany do połowy w śmieciach, w jednej z wąskich uliczek Klatki. Żył jeszcze, jednak iskierka życia płonąca w jego jedynym oku wyraźnie już dogasała. Odziany był w łachmany, które jednak dziwnie nie pasowały do umierającego mężczyzny. Czy człowiek ten przed kimś się ukrywał? Czy uciekał przed grożącym mu niebezpieczeństwem? Tego Kallugyn nigdy się nie dowiedział, bowiem parę chwil po tym, jak niziołek znalazł konającego, ten zmarł nie wyrzekłszy ani słowa. Nie przejęty tym ani trochę złodziejaski przeszukał skrzętnie kieszenie trupa. Znalazł tam tylko sznurek, na który nawleczone było dziewięć ciężkich, nieforemnych blaszek wyglądających tak, jak gdyby ktoś przez długie godziny moczył je w żrącym kwasie. Niziołek przetarł jedną z nich brudnym palcem i bez zdziwienia odkrył, że na skorodowanym metalu widoczny jest jakiś napis w otchłannym. Odczytał go...

Od tego momentu jego życie zmieniło się diametralnie. Niziołek bardzo szybko zorientował się, że ma w ręku pęk cennych kluczy - kluczy do najpilniej strzeżonych miejsc Baatoru i niektórych fortec władców tej sfery. Skorodowane blaszki pozwalały mu w dowolnym miejscu otwierać portal, który zabierał go niemal pod same drzwi skarbców Dispatera, smoczycy Tiamat czy nawet samego Asmodeusza. Na szczęście, te same blaszki pozwalały mu też wracać w bezpieczne zakamarki Sigil. Kallugyn czerpał pełnymi garściami z rogu obfitości darowanego mu przez los. Wykorzystując nieuważę diabelskich strażników, wkraadał się do skarbców piekielnych władców oraz innych potężnych stworzeń i rabował wszystko, co tylko wpadło mu w ręce. Dzięki temu procederowi nie tylko wzbogacił się znacznie, ale także zyskał moc i potęgę, którą nie mógł poszczycić się żaden inny sigilijski włamywacz.

Aby nie musieć martwić się o to, czy aby drogocenne blaszki nie wypadną mu z kieszeni podczas którejś z akcji, przemyślny złodziejaski umocował je na wzmocnionym magicznie łańcuchu, a ten - na twardej, dębowej pałce. W ten sposób otrzymał magiczny korbacz, który w każdej chwili mógł być użyty do międzyplanarnej ucieczki.

Z czasem wypadki Kallugyna stały się coraz bardziej zuchwałe. Otoczony magią i mocą, niemal wyczuwalnie promieniującą z noszonych przez niego magicznych przedmiotów, bezczelnie paradował przed bezsilnymi strażnikami diabelskich skarbców. Wreszcie postanowił dokonać czegoś, na co nie poważył się żaden śmiertelnik przed nim. Postanowił obrabować główny skarbiec Malsheem - fortecy Asmodeusza, Króla Dziewięciu Piekieł...

Nikt w Sigil dokładnie nie wie, co stało się z zuchwałym niziołkiem po tym, jak wkroczył w portal wiodący do Malsheem. Plotki krążące po Mieście Drzwi mówią, że pan Cytadeli Piekieł sam stanął w obronie swoich bogactw. Inna wersja tej historii głosi, że uciekając ze skarbcza Kallugyn zgubił swoją drogocenną broń, a przez to skazał sam siebie na tułaczkę po skalistych ziemiach Nessus. Jeszcze inna, że niziołek, już po wejściu w portal wiodący z powrotem do Sigil, wpadł w planarną pułapkę zastawioną przez zirytowanych władców piekieł i po dziś dzień bezskutecznie miota się pomiędzy sferami. A może to ktoś, do kogo dawniej należał zestaw piekielnych kluczy upomniał się wreszcie o swoją własność? To, jak było naprawdę, wie prawdopodobnie tylko sam Asmodeusz.



Działanie: Klucz Dziewięciu Bram to mały Lekki korbacz +2, który jednak posiada zdecydowanie większą wartość jako środek transportu międzyplanarnego, niż jako oręż. Na łańcuchu broni, który normalnie zaopatrzony jest w nabijaną kolcami kulę, wisi w tym przypadku dziewięć masywnych, magicznie wzmocnionych (już po znalezieniu artefaktu przez Kallugyna) blaszek o nieregularnych, niejednokrotnie bardzo kanciastych, kształtach. Na każdej z nich widnieje wyżarta kwasem nazwa jednej z dziewięciu płaszczyzn Baatoru, zapisana w języku otchłannym (mieszkańcy Sigil, a jednym z nich był przecież sprytny niziołek, na ogół nie mają problemów z mową i rozumieniem tego narzecza). Jeżeli istota trzymająca korbacz wymówi na głos którąś z tych nazw (zastosowany język jest nieważny), zostanie natychmiast przeniesiona na tą płaszczyznę Dziewięciu Piekieł (tak, jakby była celem zaklęcia Zamiana planów), której mianem się posłużyła. Korbacz przenosi trzymającą go istotę zawsze w to samo miejsce w obrębie danego poziomu Piekieł (zobacz: Tabela 1-1), niezależnie od tego, gdzie owa istota chce się znaleźć. Aby powrócić bezpiecznie na płaszczyznę, z której właściciel Klucza Dziewięciu Bram rozpoczął swą podróż, musi on powtórzyć nazwę płaszczyzny Baatoru, na której przebywa, ale od tyłu i w tym samym języku, w którym wymówił ją wcześniej. W razie uczynienia tego, artefakt przenosi trzymającą go istotę z powrotem dokładnie w to samo miejsce, z którego wcześniej zabrał ją do Dziewięciu Piekieł.

Tabela 1-1: Punkty docelowe Klucza Dziewięciu Bram
Poziom Baator - Miejsce lądowania:

Avernus - Niewielka grota położona nieopodal skarbcza

Diamat Dis - Podziemia Żelaznej Wieży - jeden poziom nad głównym skarbcem Dispatera
Minauros - Centrum ruin pod miastem

Minauros Flegetos - Sekretne pomieszczenie za ścianą sali tronowej obsydianowego pałacu Fierny i Beliala w Abriymoch
Stygia - Parę metrów od wrót głównego skarbcza Sekolaha w Sheyruushk
Malbolge - Wejście do lochów Twierdzy Hrabiny Wiedźmy (niezależnie od jej położenia)

Maladomini - Ostatni poziom najwyższej wieży w pałacu Belzebuba w Malagardzie
Cania - Jedna z klatek na osobliwości w głównym skarbcu cytadeli Mefistar
Nessus - Najmniejsza w Malsheem komnata audiencyjna, leżąca tuż przy pomniejszym skarbcu

Z Kluczem Dziewięciu Bram należy jednak obchodzić się bardzo ostrożnie. Spowodowane jest to faktem, że artefakt może utrzymać tylko jedno planarne połączenie na raz. Tak więc ktoś, kto przeniósł się na jedną z płaszczyzn Dziewięciu Piekieł za pomocą korbacza i pragnie udać się stamtąd w ten sam sposób bezpośrednio na inny poziom Baatoru, musi liczyć się z tym, że broń od tej chwili jako plan wyjściowy będzie traktować pierwszy odwiedzony przez niego poziom Piekieł, a nie sferę, z której właściciel Klucza Dziewięciu Bram rozpoczął swoją planarną eskapadę. Zdecydowanie lepiej jest więc powrócić chociaż na chwilę na plan wyjściowy pomiędzy podróżami na różne poziomy Baatoru. Oszczędza to mnóstwa problemów związanych z szukaniem drogi ucieczki z nieprzyjaznej sfery, jaką niewątpliwie jest Dziewięć Piekieł.

Poziom czarującego: 20; Waga: 2,5 kg.

Piotr 'Rebound' Brewczyński



Shinobi

Klasa prestiżowa

Księżyc świecił już jasno na niebie. Nazaru przechadzał się ulicą - lubił to robić, kiedy były puste i otaczała go cisza. Za swoimi plecami usłyszał kroki. Z ciemności wyłoniło się czterech zbirów z nożami i pałkami. Za jego plecami było ich dwóch. Był otoczony...

- A co my tu robimy tak późno? - Rzekał z krzywym uśmiechem herszt bandy.

- Spacerujemy - Odrzucił niewzruszony Nazaru.

- A czy wiemy, że za tak późne przechadzki trzeba płacić? - Rozległ się śmiech pozostałych oprychów.

- Nie. I nie mam zamiaru tolerować waszych praw. Teraz odejdźcie.

- Słyszeliście go chłopaki? No trudno, zabawimy się! - Dowódca oprychów zaczął podchodzić z nożem.

- Nie sądzę - Padła szybka odpowiedź z ust Nazaru. Nagle coś przecięło powietrze.

- Co jest!? Nie mogę się ruszać!

- Ja też! - Krzyczeli ci, którzy zaszli wojownika od tyłu.

Ale jego już tam nie było...

- CO SIĘ STAŁO?! - Ryknął przywódca bandy dotykając skrwawionego ubrania.

- Co do cholery?! - Te i podobne pytania zadawali sobie bandyci oglądając przecięte koszule i rany... Rany zadane mieczem.

Tymczasem Nazaru maszerował dalej, przypatrując się światłu księżyca i ścierając z swego wakizashi krew tych, którzy poznali zdolności wojownika shinobi...

Wymagania

Bazowa premia do ataku: +5

Atuty: Szybkie wyciąganie broni, Poprawiona inicjatywa, Bieg

Umiejętności: Zauważanie - 5 rang, Nasłuchiwanie - 5 rang

Umiejętności klasowe

Równowaga (Zr), Błef (Cha), Wspinanie (S), Rzemiosło (Int), Wyzwalanie (Zr), Zbieranie informacji (Cha), Ukrywanie (Zr), Skakanie (S), Nasłuchiwanie (Rzt), Ciche poruszanie (Zr), Przeszukiwanie (Int), Wycucie pobudek (Rzt), Zauważanie (Rzt), Pływanie (S).

Poziom	BAB	Rzuty obronne			Specjalne
		Wytrw	Ref	Wola	
1	+1	+0	+2	+0	Masshigura 3m
2	+2	+0	+3	+0	Kamaitachi 1k4
3	+3	+1	+3	+1	Masshigura 4,5m, Hari
4	+4	+1	+4	+1	Kamaitachi 2k4, Heiran
5	+5	+1	+4	+1	Masshigura 6m, Suro-hari
6	+6	+2	+5	+2	Kamaitachi 3k4, Masshigura-Bu
7	+7	+2	+5	+2	Masshigura 7,5m, Hari Ho-rudo
8	+8	+2	+6	+2	Kamaitachi 4k4, Mokushi-yoru
9	+9	+3	+6	+3	Masshigura 9m, Hayaku-Ken
10	+10	+3	+7	+3	Kamaitachi 5k4, Ateni-hari

Kość wytrzymałości: k8.



Zdolności klasowe

Biegłość w broni i pancerzu: Shinobi nie zyskuje nowych biegłości w żadnej broni lub pancerzu. Gdy postać ma na sobie średni lub ciężki pancerz lub/i gdy nosi tarcze nie może używać żadnych zdolności, jakie oferuje ta klasa prestiżowa, oprócz Mokushi-yoru.

Masshigura (jap. *Z pełną prędkością*) (zw): Już na 1. poziomie Shinobi uczy się poruszać z zaskakującą prędkością. Może pokonywać odległość podaną w tabelce w akcji darmowej. Nie prowokuje to okazynego ataku. Wraz z zdobywaniem doświadczenia odległość, która może przebyć Shinobi zwiększa się. Zdolności tej można użyć raz w rundzie.

Kamaitachi (jap. *Cięcie wiatru*) (zw): Shinobi od 2. poziomu staje się tak szybki, że jego przeciwnicy zauważają cięcia dopiero, gdy ich sprawca jest już daleko. Aby użyć tej zdolności, shinobi musi po wykonaniu ataku uciec od przeciwnika za pomocą Masshigura. Przeciwnik otrzymuje obrażenia zadane za pomocą tego ataku dopiero w następnej rundzie, wzbogacone o wartość podaną w tabelce.

Hari (jap. *Igła*): Shinobi zyskuje Biegłość w igle (broni opisanej poniżej). Gdy próbuje nałożyć na igłę truciznę, nie istnieje szansa, że sam się zatruje. **Heiran (jap. *Bieg po ścianie*) (zw):** Shinobi na 4. poziomie zdobywa zdolność biegania po ścianach jak po normalnym podłożu. Nie może wbiegać w górę lub dół, tylko w poziomie. Utrzymuje się na ścianie dopóki biegnie - przebyty przez niego dystans równa się jego normalnej szybkości. Wbiegnięcie na ścianę liczy się jako 1,5 m krok.

Suro-Hari (jap. *Rzut igłą*): Od 5. poziomu shinobi może rzucać igłami na odległość 9 m. Tak użytą w walce igłę traktuje się jak shuriken.

Masshigura-Bu (jap. *Część przemieszczenia*) (zw): Shinobi 6. poziomu opanował sztukę Masshigura do perfekcji. Od teraz może dzielić dystans jaki przebywa za pomocą Masshigura-Bu na mniejsze odległości i używać ich w różnych odstępach czasu (nadal w jednej rundzie). Ponadto, gdy ucieka od przeciwnika w celu wykonania Kamaitachi, może skierować się do następnego, wykonując drugi atak. W stosunku do drugiego przeciwnika również może zastosować Kamaitachi, musi jednak znów uciec poprzez Masshigura. Takich ataków może wykonać tyle ile ma

ich bazowych. Przykład: 10. poziomowy Shinobi posiadający bazowe ataki +15/+10/+5 biegnie 9 m do pierwszego przeciwnika i atakuje pierwszym atakiem. Wykonuje Kamaitachi i przemieszcza się 3 m do następnego przeciwnika. Atakuje drugim atakiem i znowu wykonuje Kamaitachi. Przemieszcza się 3 m do trzeciego przeciwnika, atakuje trzecim atakiem i znów robi Kamaitachi, przemieszcza się na 3 m (tylko tyle mu zostało z całego dystansu 9m). W następnej rundzie każdy z zaatakowanych przeciwników otrzymuje normalne obrażenia +5k4 z Kamaitachi.

Hari Ho-rudo (jap. *Unieruchomienie igłą*) (zw): Shinobi 7. poziomu, dzięki studiom nad akupunkturą, potrafi określić witalny punkt układu nerwowego niemal dowolnego stworzenia. Wykorzystuje to do unieruchomiania różnych istot poprzez paraliż jego nerwów. Wykonuje to poprzez niezwykle precyzyjny rzut igłą. Trafionemu nią stworzeniu musi powieść się rzut obronny na Wytrwałość (ST 10 + poziom postaci w tej klasie prestiżowej), lub zostanie ono poddane efektowi analogicznemu do czaru Wstrzymanie osoby rzuconego przez 10. poziomowego Zaklinacza. Zdolność ta nie działa na istoty odporne na trafienia krytyczne, a więc m.in. na nieumarłych, służy czy konstrukty.

Mokushi-yoru (jap. *Widzenie nocy*) (zw): Shinobi zazwyczaj prowadzi nocny tryb życia. Na 8. poziomie jego oczy przystosowują się do ciemności. Otrzymuje on widzenie w ciemnościach na 1,5 m/poziom w tej klasie prestiżowej.

Hayaku-Ken (jap. *Szybkie ostrze*) (zn): W walce wręcz shinobi jest mistrzem szybkich ciec i pchnięć. Od 9. poziomu w tej klasie każda broń, którą trzyma shinobi staje się bronią Szybkości. Broń ma tę własność tylko w rękach shinobiego. Gdy ten ją puści lub odłoży, broń traci ową właściwość.

Atemi-hari (jap. *Podmuch igieł*) (zc): Raz dziennie shinobi 10. poziomu może wyrzucić igły we wszystkie otaczające go istoty (włącznie z sojusznikami). Podczas akcji całorundowej (nie może wtedy użyć Masshigura) shinobi wyrzuca setki igieł we wszystkich kierunkach, na maksymalną odległość 9 m. Atak ten zadaje 10k10 obrażeń - połowę po udanym rzucie obronnym na Refleks (ST 25), a trafieni nim podlegają działaniu zdolności Hari Ho-rudo (wykonuje się jeden rzut obronny na każde 10 obrażeń zadanych przez igły).



Dodatek

Igła

Malutka broń egzotyczna. Obrażenia: klute 1; Przyrost zasięgu: 9 m; Ciężar: nieistotny; pod każdym innym względem traktuje się ją jak shuriken.

Igły to broń niepowodująca większych obrażeń, jednak niezastąpiona przy aplikowaniu trucizn. Uklucia nią prawie nie czuć, a wbija się na tyle głęboko, że trucizna, którą jest pokryta bez przeszkód wnika do krwioobiegu ofiary.

Jakub "Newanderer" Jakubowski



Asinus i Eterycci

Asinus

Dawno temu, królowe istot baśniowych postanowiły ukarać kilku okrutnych, złych, pysznych i dumnych śmiertelników nawiedzających magiczny Las Ardeński. Według bajek, uśpiły ich, i przemieniły ich głowy w głowy osłów. Ukarani ludzie zaszyli się w głębokich lasach. Mieli potomstwo, równie głupie i zadufane w sobie jak oni sami. Dziś są rasą skarłatą, ksenofobiczną aż do bólu i nieco zdeformowaną. Doskonale pasują do dziecięcych bajek o osłach.

Osobowość: Asinowie są tępi, nie potrafiący się skupić. Nie mają poczucia humoru, i nie istnieje wśród nich żadne poczucie uczciwości. Uważają siebie za centrum świata, naturalny wzór doskonałości wszystkich istot. Nienawidzą zwłaszcza elfów i istot baśniowych.

Opis fizyczny: Asinowie są nieco więksi od krasnoludów, jednak od nich szczuplejsi. Często są groteskowymi, garbiącymi się sylwetkami. Oczywiście, mają osłe głowy, a ich ramiona też porasta sierść, w różnych kolorach - szary, czarny, biały. Biali Asinowie są często wyrzutkami, co zmusza ich do bratania się z innymi rasami.

Relacje: Nie znoszą elfów, ludzi, i większości cywilizowanych (lub nie) istot. Nie lubią też istot baśniowych, oraz centaurów.

Charakter: Przeważnie zły. Równie często żyją w tyranii, co kłócą się między sobą.

Krainy: To zwykle osady ukryte w leśnych bagnach. Ponieważ Asinowie nie mają zbyt wielkich umiejętności rzemieślniczych (ani, szczerze mówiąc jakichkolwiek innych), wioski ich zazwyczaj znajdują się w opłakanym stanie.

Religia: Asinowie zachowali ludzkie wierzenia. Choć czasem nazywają bogów na swoją modłę, to jednak czczą Erythnula lub Hextora. Mają wrodzony wstręt do bogów natury.

Język: posługują się zdegenerowanym dialektem wspólnego.

Imiona: Goer, Veeems, Reamt, Foor, Piif, DI, Bottom. Damskie imiona zazwyczaj tworzy się przez dodanie -a.

Poszukiwacze przygód: Asińscy poszukiwacze przygód są nadzwyczaj rzadcy. Zazwyczaj są wyrzutkami ze społeczeństwa, i dlatego z reguły nie są źli. Nie chcą udowodniać wartości swojego społeczeństwa - wiedzą, że pochodzą ze złej rasy. Wtedy zazwyczaj są niezwykle pokorni, i uprzejmi, szybko (niezwykle szybko) łapiąc konwenanse obowiązujące w poznanych społeczeństwach. Tacy Asinowie mogą przewyciężyć swoją wrodzoną niechęć do innych.

Cechy rasowe Asinusów:

- Siła +2, Zr -2, Bd +2, Int -4, Rzt -2, Cha -4 Asinowie są fizycznie zahartowani, lecz ograniczeni umysłowo, ksenofobiczni, i skupieni na sobie.

- Średni rozmiar - jako stworzenia średnie nie mają premii ani kar.

- Bazowa szybkość Asina to 9 metrów.



- Potworny humanoid - Asinowie nie są humanoidami, lecz potwornymi humanoidami. Nie działają na nich czary wpływające tylko na humanoidy.

- Premia rasowa +2 do testów Tajników Dzikich.

- Premia +3 do rzutów obronnych przeciwko transmutacjom - nadal ciąży na nich klątwa, utrzymująca ich w tej postaci.

- Asinus o dobrym charakterze na pierwszym poziomie może zrezygnować z atutu, w zamian zyskując premię +2 do Charyzmy. Zastępuje to karę do tej cechy i obrazuje niezwykłą chęć pomocy i dobrą empatię jaką te istoty mogą okazać.

- Automatyczny język: wspólny. Języki premiove: elfi, leśny, gobliniński, orkowy, gnolli.

- Ulubiona klasa: wojownik.

Eteryci

Eteryci to niezwykle istoty, żyjące blisko źródeł magii. Przenika ich, i otacza ta mistyczna moc, zmieniając ich ciała w coś ogólnie bliższego istotom nieziemskim. Sami twierdzą, że w jednej z ukrytych świątyń ich bogów spoczywa Tajemnica Mocy, pozwalająca na osiągnięcie potęgi przewyższającą nawet moc bogów, a oni istnieją by jej strzec. Jednak przez długie milenia zapomnieli wiele spośród swych prastarych tajemnic. Przez wiele ras uważani są za bardziej wyniosłych i chłodnych niż nawet szare elfy. Są jednak bardziej serdeczni, kiedy przez dłuższy czas żyje się obok nich. Tylko dlatego jednak, że przybysze zaczynają oddychać eterem, powietrzem przesiąkniętym magią, sami mogą zmienić się w Eterytów.

Osobowość: Eteryci są chłodni i nieco wyrachowani. Z reguły są dobrymi istotami, jednak wolą trzymać się własnych osad, niż walczyć ze złem. Podczas starożytnych wojen podobno formowali własne oddziały magów, jednak teraz zajęci są wyłącznie swoją społecznością.

Opis: Eteryci wyglądają na bezwłosych ludzi o lekko niebieskiej skórze. Ich oczy zazwyczaj są jednolicie białe, jednak istoty ta mają znacznie lepszy wzrok niż ludzie.

Relacje: Eteryci są pełni podziwu dla smoków, bo te istoty są również związane z magią. Rozumieją elfy i gnomy, ale nie utrzymują z nimi stosunków.

Charakter: Z reguły dobry. Częściej skłaniają się ku prawu, niż chaosowi. Tym niemniej jednak, choć są dobrzy, to jednak nie - serdeczni.

Krainy: Znane są tylko trzy miasta Eterytów - Shangrilla, Handatha, Osovando. Zrujnowane, kamienne budynki o starożytnej architekturze mówią cicho o tajemniczej przeszłości tego ludu. W tych mniej zniszczonych mieszkają nieliczni Eteryci, studiując źródła magii. Rządzą nimi najpotężniejsi magowie.

Religia: Eteryci czczą Sevrę, istotę wydającą się być potęgą magii, przesiąkniętą mocą ziemi. Nie oddają jej wielkiej czci, a kapłani Sevry są najczęściej druidami. Niektórzy mówią o starożytnych bogach swej rasy, jednak znane są tylko trzy bóstwa spośród rzekomej dwunastki - Vandos, bóg rozpaczy, Tha - bogini dzierżąca świetlistą włócznię, i bezimienny bóg zwany dosłownie Fesdilnh, czyli "Okrucieństwo Litości". Jego kult niemal na pewno wymagał ofiar z Eterytów.

Język: Szangrijski, niemal tak skomplikowany jak smoczy. Rzadko zadają sobie trud uczenia się innych języków.

Imiona: Imiona męskich Eterytów są niezwykle złożone, często niewymawialne przez ludzi. Męskie: Grtellanpov, Laukomiv, Kasslvnw, Jgronll. Imiona kobiet są miększe i prostsze: Tealla, Goyda, Wellio, Oiaea, Saao. Nie używają nazwisk z powodu małej



liczebności. W kontaktach z obcymi, używają nazwy swego miasta.

Poszukiwacze przygód: niemal nie istnieją. Nie do wyobrażenia sobie jest fakt, że jakiś Eteryta postanowi wynieść się z rodzinnego miasta. Tym niemniej, zawsze jest jakiś wyjątek. Tacy Eteryci zwykle zostają potężnymi czarownikami.

Cechy rasowe Eterytów:

- Bd +2 Int +2, Rzt -2, Cha -2 - Eteryci nie są dobrymi empatami, jednak wchłanianie magii zwiększyło ich wytrzymałość i inteligencję.

- Nieśmiertelność - Eteryci nie starzeją się i nie umierają, tak długo jak przebywają na obszarze swojego miasta. Można ich tam jednak zabić. Eteryci w miastach i poza miastami są odporni na choroby i trucizny.

- +2 do testów Czarostwa i Wiedzy tajemnej - eteryci istnieją, by zgłębiać tajemnice magii Premia rasowa do rzutów obronnych na wolę +2. Są skryci i niezgłębieni.

- Język automatyczny: szangrijski, używający własnego alfabetu. Języki premiowe: wspólny, elfi, smoczy, niebiański, otchłanny, piekielny.

- Widzenie w słabym świetle: jak elf.

- Eteryci nie potrzebują pożywienia, jednak muszą raz dziennie poświęcić przygotowany czar 1 poziomu dla podtrzymania swojej egzystencji, jeśli nie znajdują się w mieście. Jeśli eteryta nie zostanie w ten sposób 'doładowany', otrzymuje 1k10 punktów stłuczeń, których nie może odzyskać do powrotu do miasta. "Odżywienie Eteryty" jest w pewnym więc sensie specjalnym czarem, którego uczą się wszystkie istoty tej rasy, a dowolna postać czarująca innej rasy może się nauczyć na pierwszym poziomie.*Ulubiona klasa: czarodziej.

- EPP +1 - Eteryci są potężniejsi, niż częściej spotykane rasy.



Krwawa dziewica

Mniejszy artefakt

Wieża wysoka, zaczepia jasne chmury.
Stara budowla, solidne jednak mury.
W wieży mieszka Mag - cny chłopina,
Małżonka i Córka - jego mała rodzina.
Życie piękne, niczym z baśni.
Wygody i dostatek - żadnych waśni.
Mag swą żonę kochał, jeszcze bardziej córkę.
Zawsze chciał mieć syna, Żona jednak dwójkę.
Dziecko rośło i piękniało,
Głos arcypiękny posiadało...

Lecz wprowadził kość niezgody,
Wieży tej mieszkanię nowy -
Był nim Starzec, zły do kości,
Niewiadomej był przeszłości.
Przypętał się dnia pewnego
Do mieszkania Maga tego.
Ten ugościł go życzliwie,
Starzec czekał zaś cierpliwie...

Na co? Po co? Tego nie wiedział nikt
Zbudził Maga z snu dziewczicy krzyk.
Wiedział, znał go - jego córa. Ukochana!
Spała w swym pokoju - sama!
Pędem, drogą krzyku biegł,
Wnet zobaczył Starca - szedł...
Szedł z rękami mokrymi krwią,
Mag już wiedział - Zabił Ją!
Oczy maga w dzikiej zemsty złości
Poczęły płonąć w czerwieni ostrości.
Słowo za słowem wypowiadał,
Gest za gestem zapowiadał
Zagładę...

W ręku komponent - cząstka siarki,
Po ciele Starca przebiegły ciarki.
Wystawił ręce, skończył inkantację
Płonące pociski trafiły zdrajcę...
Zginął stary - on już nie żył dawno,
To zło pierwotne, siłę pradawną
Nosił w sobie... Siłę zła...
Uwolniona dusza ta...
Ruszył Mag co sił w nogach,
Stawiał kroki na podłogach,

Na wpół spopielonych czarem,
Na złudzenie czarną marę...
Która w koszmarze go nawiedza,
Teraz wie już - na co mu ta wiedza!
Córka przecież nie ożyje!
On rąk przecież nie umyje...
Tracił rozum, myśl każdą...
"Marzenia me upadną...
Co będzie dalej?
Nie chce żyć wcale!"
"Wiem!" - Pomyślał. Umysł szalony
Uniósł Córę, przesunął zasłony,
Ciemność wprowadził,
Zło tam sprowadził,
I tworzył...

Zamknął w kamieniu Córki głos,
Przesiąkł go nim na wskroś.
"Więcej Zła!" powiadał,
Zaklął plugastwo, cios zadał...
"Mało... MAŁO!" krzyczał...
Wtem jego twór zaryczał!
Ożyła córka wyrzeźbiona w kamieniu,
Otworzyła paszczę w oka mgnieniu!
Z dziewczicy pięknej - potworem się stała...
"Dobrze moja mała!"
- Odezwał się głos szaleńca,
"Ojczel! Zrobiłeś ze mnie w kamieniu jeńca!" -
Krzyknął posądek córy,
"Krzycz! Krzycz! Mury
Niech będą mi świadkami,
Że anielski głos twój!"
"Dobrze kochany ojczel mój!"
W tym momencie Matka wkroczyła
Do komnaty, rzekła "Śpiewać teraz?
O tej porze?
Powróć mężu na swą łóżę."
Nieświadoma, że jej mąż uczynił potwora...
Uświadomił sobie, że jego zmora...
Córka paszczę swą rozwarła!
Dźwięki straszne z się wydała!
Pieśń płaczu, zemsty, głodu!
Czym była za młodu,
Teraz jest odwrotnością,
Co też zło robi z miłością!
Tętno ustało, martwi Mag i żona...
Jednak cieszy się Ona!
"Głód zaspokojony!" Czynn to zbrodniczy...

Taka historia... Krwawej Dziewicy...



którym broń znów "ugryzie" (zrani) humanoida lub do wypuszczenia jej z ręki.

Wygląd:

Krwawa dziewica jest morgenszternem, którego rękojeść wykonana jest z czarnego drzewa utwardzanego magią. Głównia zrobiona jest z białego marmuru i przedstawia małą dziewczynkę stojącą na kamiennej kolumnie. Dziewczyna ma zamknięte oczy i ręce złożone jak do modlitwy. Ubrana jest w koszulę nocną, która zdaje się powiewać na wietrze ukazując stopy małej. Wszystko to jest mistrzowskim dziełem ojca tejże dziewicy...

Specjalne:

Ten *Plugawy Morgensztern* +2 ma następujące właściwości:

Pożeranie: Gdy wykonywany jest zamach w celu ataku Krwawą Dziewicą, modląca się dziewczynka otwiera oczy i usta, które przekształcają się w morderczą paszczę pełną kłów. Dzięki temu broń zadaje obrażenia klute (od kłów) zamiast miażdżonych.

Wrzask: za każdym razem, gdy Krwawa dziewica zatopi kły w nie-humanoidalnym stworzeniu, wydaje z siebie wrzask, który słyszy tylko dzierżący ją - jest to oznaka, że broń nie lubi takiego mięsa. Wrzask powoduje u właściciela oszołomienie na 1 rundę. Przed oszołomieniem ratuje udany rzut na Wolę (ST 10 + 1 za każdy następny wrzask w ciągu dnia). ST wraca do 10, gdy Krwawa dziewica skosztuje żywego humanoidalnego mięsa lub gdy minie dzień od ostatniego ciosu wymierzonego w nie-humanoida.

Duszożerczyni: Gdy miną 24 godziny od ostatniego momentu, w którym Krwawa Dziewica zatopiła kły w humanoidzie, trzymająca ją postać zyskuje jeden negatywny poziom. Utrzymuje się on do momentu, w

Lament Dziewicy: Zdolność ta objawia się dopiero przed 15.-poziomym kapłanem o złym charakterze. Raz w tygodniu Krwawa Dziewica wydaje z siebie krzyk, który kończy życie tych, których wybrała na ofiary. O momencie decyduje MP, więc może to być to zarówno środek walki jak i rozmowa z burmistrzem. Zdolność działa analogiczna do efektu czaru Wycie Banshee rzuconego przez 17.-poziomowego Zaklinacza. Przed śmiercią ratuje udany rzut na Wytrwałość (ST 18). Nieudany powoduje natychmiastową śmierć ofiar, a także wchłonięcie ich ciał (nie dusz) przez Krwawą Dziewicę.

Jakub "Newanderer" Jakubowski